PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

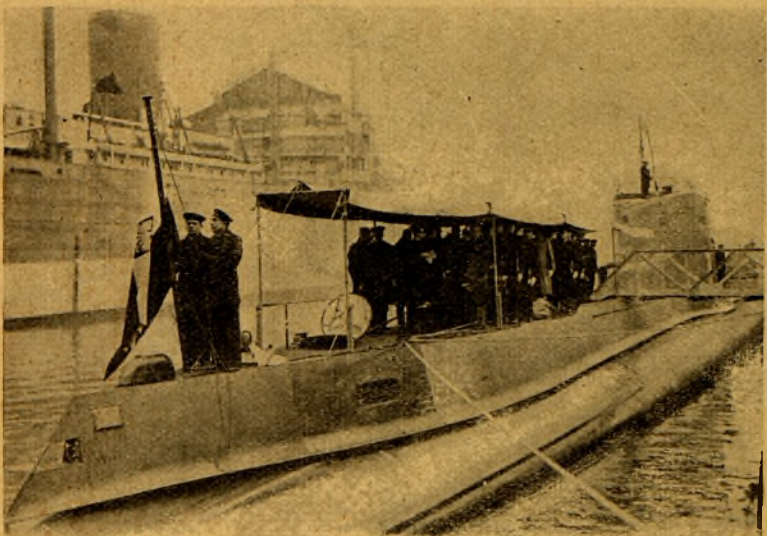


ROK II
NR 12

MŁODY NURT



Pan Prezydent R. P. w rozmowie z rektorem prof. Staniszewem. Pierwszy od lewej: p. min. prof. Świętosławski



„Orzeł", nowa łódź podwodna marynarki Polskiej



Moment audjencji delegacji Komitetu C. I. P. u Pana Prezydenta R. P. Pan Prezydent rozmawia z prezesem ks. Coburg-Gotha w obecności min. Kościałkowskiego oraz prezesa Federacji P. Z O. O gen. Góreckiego, min. Kasprzyckiego i ambasadora von Moltke

WRĘCZENIE P. PREZYDENTOWI RZPLITEJ DYPLOMU DOKTORA HONORIS CAUSA UNIWERSYTETU W SOFII

W dniu 21 lutego w godzinach południowych odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie uroczystość wręczenia Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej dyplomu doktora honoris causa wszystkich wydziałów Uniwersytetu w Sofii przez specjalną delegację z rektorem Uniwersytetu prof. dr. Aleksandrem Staniszewem na czele.

Uniwersytet św. Klemensa Ochrydzkiego w Sofii nadał P. Prezydentowi Rzplitej tę najwyższą godność z okazji swego jubileuszu, w uznaniu wybitnych zasług Pana Prezydenta dla nauki.

Uroczysta audiencja na Zamku, w czasie której rektor prof. Staniszew wręczył Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej pergaminowy dyplom, odbyła się w obecności ministra Oświaty prof. Świętosławskiego i posła bułgarskiego w Warszawie min. Trajanowa (zdjęcie obok).



Pomnik bohaterskiego pułkownika Francesco Nullo, ofiarowany Warszawie przez miasto Bergamo

POMNIK PŁK. NULLO W STOLICY

W związku z zapowiedzianym odsłonięciem w Warszawie popiersia płk. Francesco Nullo przy ulicy jego imienia na terenach Frascati, przybyła w sobotę do Warszawy delegacja rodzinnego miasta płk. Nullo, Bergamo, które ofiarowało naszej stolicy popiersie. W uroczystym odsłonięciu, którego dokonał min. spraw zagr. Włoch hr. Ciano, wzięła udział kompania honorowa Związku Strzeleckiego.

DELEGACJA MIĘDZYNARODOWEGO KOMITETU KOMBATANTÓW W WARSZAWIE

W dniu 22 lutego w godzinach rannych przybyła do Warszawy delegacja Międzynarodow. Stałego Komitetu b. Kombatantów (Comité International Permanent des Anciens Combatants) z prezesem Komitetu ks. Edwardem Coburg-Gotha na czele (zdjęcie obok).

MŁODY NURT

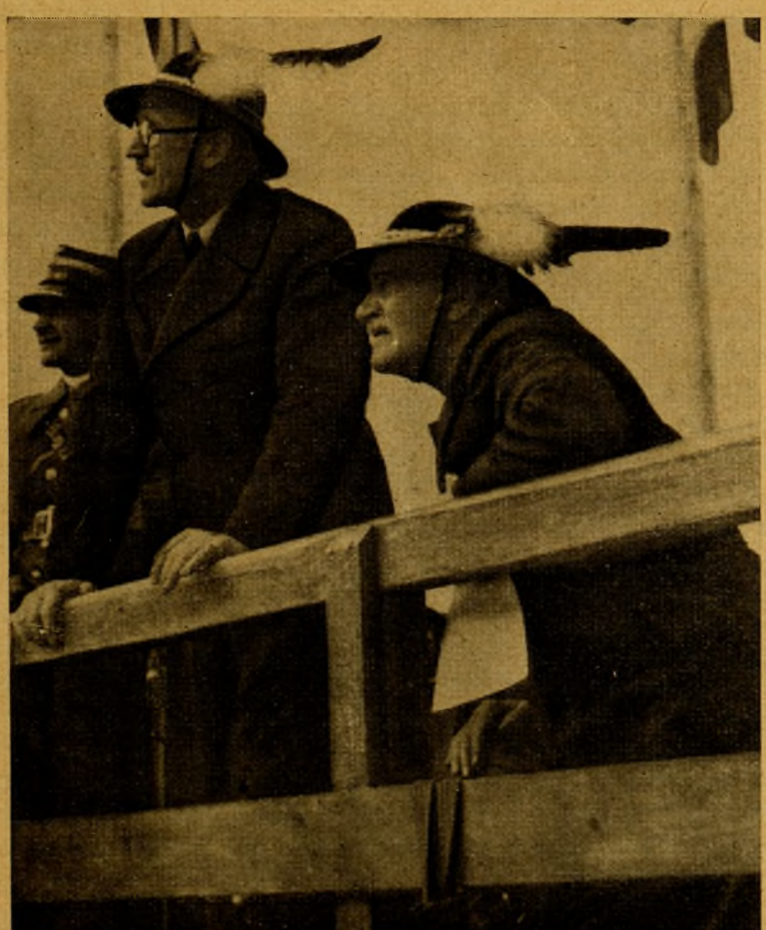
PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Ministerstwo Wyzn. Religijnych i Ośw. Publicznego pismem z dn. 21 października 1938 roku Nr. II Pr. 16859/38 dało zezwolenie na abonowanie dla bibliotek uczniowskich „MŁODEGO NURTU", dwutygodnika młodzieży szkolnej.

DWUTYGODNIK

Nr 12 (15) Rok II

1 marca 1939 roku



Pan Prezydent I. Mościcki z wicemin. Bobkowskim obserwują zawody F. I. S.

Jeżeli naprawdę jesteśmy „skazani na wielkość" — to w treści tych słów szukać musimy nie dźwięku, a samego życia. Być skazanym na wielkość, nie znaczy nic nie robić, nie znaczy nie przyczyniać się do wzrostu i przyśpieszenia procesu narastania wielkości.

NASZE ZADANIE NA DZISIAJ

Nawet człowiek, przynoszący na świat zadatki geniuszu, łatwo stracić je może podczas odbywania drogi życia, jeżeli ze swej strony nie da maksimum wysiłku i pracy, by w ten właśnie sposób pełnić ciążące na nim przeznaczenie.

Przykłady największych geniuszów świata dowodzą oczywistości tej prawdy. Ileż to pracy nad sobą poświęcił najwszechstronniejszy geniusz Lionardo da Vinci,—przez jak straszne piekło za życia przeszedł Dante,— ileż stoczył walk wewnętrznych, przez jaką pracę i trud przechodził Mickiewicz, — w jakiejże pracy ducha i w jak nadludzkim wysiłku (fizycznym nawet) wykwitła w duszy Piłsudskiego niepodległa Polska?

Bez trudu, pracy i cierpienia nie ma wielkości.

Najzdolniejsi nieraz koledzy z gimnazjum, wybitni uczniowie — zostają potem często w życiu zapomniani, dokonują cichego żywota jako urzędnicy skarbowi lub sekretarze gminni. Tak wspaniałą wszyscy wróżyli im przyszłość — a oni na przekór wszystkim wybrali cichą, spokojną karierę urzędniczą.

Wszyscy wiemy gdzie przyczyna. Wiemy, że w chwilach walki, w momentach upadku i zwycięstwa nie umieli zachować równowagi ducha, że nie znali uporu w dążeniu do celu, że brakło im charakteru. I te nazewnątrz często niewidoczne, błahe jakby się wydało powody, z ludzi o wielkich zadatkach umysłu i serca poczyniły karłów, ludzi mniej niż przeciętnych.

Tak, jak w życiu jednostek, nie inaczej jest w życiu narodów całych.

Polacy, mimo wzniosłości duszy i głębokości umysłu, upadli, bo brakło im w najogólniejszym pojętego znaczeniu — charakteru. Z dwu dróg: wielkości i upadku — wybrali drugą, łatwiejszą. Pierwsza wymagała nadzwyczajnego wysiłku, pracy żmudnej, codziennej i nieustępliwej, wymagała ciągłego doskonalenia i powiększania zasobów ducha. I przedtem, przed 150 laty byliśmy na to za leniwi.

I czyż teraz, po tylu doświadczeniach mamy kroczyć starymi drogami, czy znowu wybierać mamy drogę bytu łatwiejszą?

Jeżeli zgodnym chórem odpowiadamy mocnym **„nie"**, to pamiętajmy, że zaciągamy się równocześnie w służbę wielkości, która wymaga pracy bez reszty: nad sobą, w szkole zawodzie i na każdym stanowisku, na które powoła nas Ojczyzna.

Wielkość, to nie tylko niedosiężne złoża dóbr materialnych. Te bowiem są następstwem bogactwa duszy, znamion jej nieprzemijalnych. Szlachetność, pracowitość, konsekwentne i zdecydowane dążenie do z góry założonego celu — oto miana do wielkości, to szczeble, które z „urodzonych" nawet geniuszów i z przeznaczonych do wielkości narodów — czynią prawdziwe wielkości.

Analiza rzeczywistości polskiej, życia poszczególnych jednostek i narodu, jako pewnej zbiorowości ludzkiej, posiadającej wspólność cech — nie nastraja optymistycznie i nie pozwala na wyciągnięcie wniosków, jako byśmy naprawdę, z całą świadomością i siłą woli — chcieli spełnić przeznaczenie wielkości.

Wszyscy szukamy winnych poza sobą, nie chcemy być współodpowiedzialnymi, współwinnymi. Wina w naszych oczach, przywykłych do ohydnych często obrazów rzeczywistości — zaczyna się tam dopiero, gdzie winowajca popada w konflikt z kodeksem karnym. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że nawet zlikwidowanie, względnie zmniejszenie procentu tego rodzaju występków, — jeszcze nie przechyli szali ku szlachetności narodu.

Zbiorowe winy i grzechy słabości przewyższają również wyjątkowe i sporadyczne wypadki, których autorami są nieliczne jednostki zdemoralizowane, pchane do ich spełnienia instynktem zwyrodnienia. Nieuświadomione natomiast często przestępstwa setek tysięcy i milionów obywateli kształtują psychikę całego narodu.

Do kategorii przestępstw, które w oczach obcych narodów stawiają nas w rodzinie tych, czy innych

(szlachetnych i uczciwych, względnie bojaźliwych, nieuczciwych, niewytrwałych itp.) — należą m. in.: brak uczciwości wewnętrznej, brak punktualności, dotrzymywania słowa, wytrwałości w pracy i dążeniu do celu, zaniedbywanie obowiązków względem siebie i swego otoczenia...

Jak bajki, słuchamy np. opowiadań podróżnika, który zwiedzał zagranicę i który usiłuje nas przekonać, że w Szwajcarii czy Szwecji klienci sami się w sklepie obsługują, że niekontrolowani przez nikogo sami biorą towar i sami za niego płacą.

Jak bajki słuchamy również opowieści, że zebranie towarzystwa X, które się miało rozpocząć o godz. 20, zaczęło się rzeczywiście 20,02 — bo wszyscy wiemy, że normalnie zaczyna się o godz. 20,45 — lub 21. Ile tracimy czasu i jak wiele nieuczciwości popełniamy, z tego nie chcemy zdawać sobie sprawy.

Dane drugiemu słowo, rzadko zaciąga nas w powinność. Normalnie nie myśli się o jego wypełnieniu. Po co, jak tego i tak nikt nie będzie egzekwował i nawet nie trzeba się będzie tłumaczyć i rumienić.

Wiadomo: do jednorazowych, zapalnych czynów, połączonych nawet z ryzykiem — jesteśmy zdolni więcej od innych. Ale, że wytrwałą i ciągłą pracą buduje się byt jednostki, narodu i państwa — to niewiele, albo nic nas nie obchodzi. Żyjemy, jakby jutro nie istniało w naszych obliczeniach.

W połowie drogi do celu potrafimy zrazić się trudnościami, porzucić zamiar i inne zacząć dzieło, po to znowóż, żeby go nie dokończyć.

I tak wszędzie; — charakter, wola jednostki i narodu ciągle nie znajdują jeszcze właściwej oceny.

A bove maiore discit arare minor — uczą się młodzi od starszych, zło wydaje się plemienne. Jeżeli nie zdeprawował się jeszcze w gimnazjum, przychodzi maturzysta uczciwy, punktualny, pracowity — do urzędu, na uniwersytet, do stowarzyszeń. Boryka się, męczy, chciałby wszystko zmienić, naprawić. Nierówna, jak mu się wydaje, walka trwa niedługo! Wnet „przyzwyczaja" się, lezie do bagna i wraz z innymi depce je nogami, chodzi po nim, jak po równym, szklistym asfalcie.

I tak z pokolenia na pokolenie idą, spływają „niewinne" grzechy, płyną, jakby były przeznaczeniem wieków. Czekają na swego pogromcę, który równocześnie ma dopełnić czary wielkości narodu.

Ciągle oglądamy się za geniuszami, którzy by naród wiedli do wielkości. Pamiętajcie, że nie tylko geniuszów nam trzeba, a uczciwych ludzi pracy. Przykłady we własnych środowiskach, w organizacjach, stowarzyszeniach, zawodzie, szkole itp. przekonywują nas o tym dowodnie. Nowy człowiek, wprowadzony do stowarzyszenia, liczącego dziesiątki i setki członków, jeśli tylko zdradza chęć pracy, inicjatywę, jeśli szczerze przystąpił do realizacji głoszonych haseł, — wnet — za kilka tygodni, miesięcy, czy najwyżej lat — zostaje sekretarzem i prezesem. U nas zdystansować ludzi w pracy uczciwej i rzetelnej jest niezmiernie łatwo. Rywalizacja prawie że nie istnieje.

Dzisiejsza rzeczywistość, której grzechów nie uwzględnia kodeks karny, nie jest platformą skoku do wielkości, jak nie jest nią krótkofalowa, przysłowiowa myśl polska na dzisiaj, głosząca, że „jakoś to będzie". Nie jakoś, ale tak będzie i być musi, jak my zechcemy.

Przetworzenia tamtej rzeczywistości, zmiany psychiki narodu dokonać może w pierwszym rzędzie młodzież. Ona może, winna i musi stać się pogromcą tamtych grzechów.

Nie brońcie się przed sobą, czytający te słowa, nie odsuwajcie i nie składajcie win na innych, a zastosujcie je do siebie. Czytajcie te słowa sercem, a nie tylko dlatego, że ktoś pisał je, by zapełnić kolumnę. Popatrzcie śmiało rzeczywistości w oczy, zanalizujcie ją, a wnioski, zaciętość, chęć pracy wytrwałej i zmiany na lepsze — przyjdą same.

Wielkość narodu tkwi w tych właśnie niedocenianych „drobiazgach", w pomnożonych zasobach ducha, w charakterze jednostek. Według tego będą oceniali nas inni. Przebudowa struktury psychicznej narodu jest jedną z pierwszych i zasadniczych dróg do spełnienia przeznaczenia wielkości.

Przebudowy struktury psychicznej nie dokonuje się jednak gadaniem. Jasno uświadomiony cel jednostek i narodu musi znaleźć pełny swój wyraz w trudzie dnia i w żmudnej codziennej pracy. Niekontrolowanej przez nikogo i niekaralnej nawet przez sądy i instytucje społeczne i państwowe — nieuczciwości wobec siebie i innych zadajmy cios ostateczny. Niezachwiani wiarą, mocni postanowieniem, zaczynając pracę od siebie, pójść musimy na front do walki z tymi „niezawinionymi" grzechami, które są tamą, hamującą prawdziwy rozwój wielkości.

O tym pamiętajmy — to bowiem pierwsze dla nas na dziś zadanie.



Służba zdrowia w wojsku

„Łapiduchy". Jak trafnie, to poniekąd złośliwe żołnierskie przezwisko w odniesieniu do sanitariuszy, określa zadania wojskowe służby zdrowia.

Zdawałoby się, że w epoce opanowania powietrza i głębin morskich, w epoce wiatrościgłych samolotów i zdradzieckich łodzi podwodnych, w epoce gąsiennicowej trakcji czołgów i morderczego ognia artylerii, w wojnie prowadzonej „w trzech wymiarach", zwycięstwo na polu walki odniesie tylko technika. A jednak tak nie jest. Cały ten śmiercionośny sprzęt pozostaje martwy i bezduszny, jeśli go nie ożywi człowiek w toku walki, bo tylko on, szary żołnierz o twardych mięśniach, żelaznych nerwach i niezłomnej woli prąc naprzód, zatyka sztandar zwycięstwa.

Ale każdy krok naprzód, każda piędź zdobytej, czy też bronionej ziemi, pociąga za sobą setki i tysiące ofiar w zabitych, rannych, zagazowanych i chorych, zaścielających pole walki.

Wojny dzisiejszej nie rozstrzyga jednodniowa bitwa, jak pod Austerlitz, czy Watterloo, a o losach jej decyduje długoletni wysiłek wielomilionowych armii. I z dnia na dzień w ciągu miesięcy i lat wykruszają się szeregi walczących. Od najrozmaitszych chorób, nieprzyjacielskich pocisków i gazów, z żołnierskich ciał na polu walki ulata duch.

Uchronić i zachować tego ducha, przywrócić zdrowie rannemu, zagazowanemu, czy też choremu żołnierzowi, aby mógł znowuż powrócić w szeregi i wywalczyć zwycięstwo, to jest zadaniem wojskowej służby zdrowia.

Tak ważne zadanie, jakim jest uzupełnienie stanów liczebnych armii, spełnia wojskowa służba zdrowia przez ochronę stanu zdrowotnego armii, tocząc uporczywą walkę z chorobami, a przede wszystkim z chorobami zakaźnymi, dla rozwoju których warunki wojny są specjalnie dogodnym podłożem i lecząc rannych, zagazowanych i chorych żołnierzy, czyli przywracając im zdrowie, a z tym zdolność do dalszej walki.

O niezwykle wydajnych rezultatach tej działalności służby zdrowia podczas minionej wojny światowej, powiedzą najlepiej statystyczne cyfry.

O ile w czasie wojny francusko - pruskiej w latach 1870 — 1871 zapadło w armii niemieckiej na dur brzuszny (tyfus brzuszny) 73.000 żołnierzy, czyli 10% armii, to podczas wojny światowej procent zachorowań na dur brzuszny bardzo zmalał. W armii niemieckiej w ciągu jednego roku zachorowało na tę chorobę 14.000 żołnierzy, czyli tylko 0,7% całego stanu armii.

Armia fracuska miała w latach 1870—1871 aż 200,000 żołnierzy chorych na ospę, podczas gdy w wojnie światowej zaledwie 26 żołnierzy zapadło na tę chorobę.

Podobnie przemawiają dane statystyczne w stosunku i do innych chorób zakaźnych, jak cholera, czerwonka itp. Przyczyną tego olbrzymiego spadku chorobowości wojsk podczas wojny jest szerokie stosowanie zasad higieny pod nadzorem służby zdrowia i masowe szczepienia ochronne, które uodparniają żołnierzy na choroby zakaźne.

W odniesieniu do rezultatów leczenia rannych, zagazowanych i chorych żołnierzy, cyfry statystyczne z wojny światowej przemawiają jeszcze bardziej wymownie.

Armia francuska, która podczas wojny światowej liczyła około 8,317,000 żołnierzy, miała 88% strat ogólnych, spośród których 82% było rannych, zagazowanych i chorych, leczonych w zakładach wojskowych. W rezultacie leczenia 90% z nich wróciło jako zdolnych z powrotem na front. W armii niemieckiej procent wyleczonych i wracających na front żołnierzy był jeszcze większy, bo dosięgał 92%.

Z cyframi tymi liczy się dzisiaj każdy dowódca przy długotrwałej wojnie.

Leczenia rannych, zagazowanych czy chorych żołnierzy nie można przeprowadzać w wirze toczącej się walki. Żołnierz ranny musi być z pola walki wyniesiony i przewieziony, czyli wyewakuowany na dalekie nieraz tyły, do obszaru etapowego względnie krajowego, gdzie w spokojnych warunkach szpitalnych znajdzie odpowiednią pomoc i leczenie.

Jedną więc z pierwszych czynności wojskowej służby zdrowia w polu jest wyniesienie rannych, zagazowanych i chorych i ewakuacja ich na tyły. To też łącznie z nacierającymi oddziałami wojsk posuwają się patrole sanitarne z noszami, te najbardziej do przodu wysunięte elementy służby zdrowia. Patrole sanitarne muszą odszukać rannego, zabezpieczyć przed ponownym zranieniem, a więc okopać lub przenieść w bezpieczne miejsce, opatrzyć mu ranę, wynieść na tyły i oddać na punkcie opatrunkowym w ręce lekarza oddziału. To fizycznie ciężkie zadanie trzeba przeprowadzić wśród gradu pocisków karabinowych i armatnich w imię wielkiego obowiązku.

Punkt opatrunkowy lekarza oddziału znajduje się także na terenie walki, więc pomoc jaką ten lekarz może udzielić rannemu, zagazowanemu, czy choremu jest bardzo powierzchowna i dorywcza, polegająca tylko na tym, by rannych przysposobić do dalszej drogi.

Dalszy etap odbywają ranni na wozach. Kilka kilometrów do tyłu, ciągną szeregi wozów sanitarnych z rannymi po drogach polnych do głównego punktu opatrunkowego dywizji. Tu otrzymują pomoc lekarską już w szerszym zakresie. Zaiperytowani zostają ostatecznie wykąpani i odkażeni. Ale i główny punkt opatrunkowy nie może im dać warunków szpitalnego leczenia i spokoju. Dziś jest on tutaj, jutro może być gdzieindziej. Po udzieleniu im pomocy,

napojeniu i nakarmieniu, zostają ranni odesłani samochodami sanitarnymi do stacji ewakuacyjnej mieszczącej się przy stacji kolejowej, skąd pociągami sanitarnymi odjeżdżają na dalsze tyły.



Nie wszyscy jednak ranni, zagazowani i chorzy są zdolni do tak dalekiego transportu. Dla wielu dalszy transport mógłby być ostatnim w życiu transportem. Najciężej ranni muszą być jaknajrychlej zoperowani, bo tylko wczesna operacja może im uratować życie. Takich, z głównego punktu opatrunkowego odsyła się do blisko położonego szpitala polowego, gdzie na stole chirurgicznym zaczyna się dla nich wstępny, ale i zasadniczy okres leczenia. W szpitalu polowym w atmosferze dostarczanego im tlenu przeżywają też swój kryzys chorobowy najciężej zagazowani. Tu leczy się też najciężej chorych, których stan chorobowy nie pozwala na daleki transport. Oni wszyscy muszą być na głównym punkcie wydzieleni, wysegregowani.

Wielu spośród tych, którzy muszą odejść do leczenia w szpitalu polowym, mogłoby być leczonymi w znacznie lepszych warunkach, na głębszych tyłach, gdybyśmy mieli dostateczną ilość lotnictwa sanitarnego, które by najciężej rannych, zagazowanych i chorych przewoziło z głównego punktu opatrunkowego, czy też ze szpitala polowego na tyły.

Daleko na tyłach armii walczącej, na stacji rozdzielczej szpitala ewakuacyjnego opróżniają się codziennie pociągi sanitarne dowożące rannych, zagazowanych i chorych żołnierzy z frontu. Tu następuje ich ostateczny podział. Część najpoważniej rannych pozostaje na miejscu leczona na salach szpitala ewakuacyjnego, przeważ-



na jednak ilość zostaje skierowana do wojskowych szpitali etapowych i do wojskowych szpitali krajowych, dokąd znów przejeżdżają pociągami sanitarnymi.

Tak wygląda wędrówka rannego, nim z pola walki dostanie się do właściwego zakładu, który mu zapewni leczenie i powrót do zdrowia.

Działalność służby zdrowia w polu nie przechodzi bez ofiar. Na polu bitwy, czy też na drodze ewakuacyjnej nie jeden kończy sanitariusz, a na cmentarzach przy szpitalach zakaźnych wyrasta też wiele krzyży z nazwiskami lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy, ofiar cichej, bezimiennej pracy dla wielkiego celu — zwycięstwa.

Do tej wytężonej pracy w polu, wojskowa służba zdrowia przygotowuje się już w czasie pokoju. Poza obowiązkami, wynikającymi z ochrony stanu zdrowotnego wojska w czasie pokojowym, musi czynić przygotowania na czas wojny. W tym celu i pod tym kątem widzenia szkoli oficerów, podoficerów i szeregowców służby zdrowia, oraz gromadzi odpowiednie zapasy sprzętu i materiału sanitarnego.



Rokrocznie do Szkoły Podchorążych Sanitarnych wstępują nowe szeregi podchorążych sanitarnych, przyszłych oficerów lekarzy służby stałej; rokrocznie szkolą się w niej świeże roczniki podchorążych sanitarnych rezerwy. Co roku wychodzą z wojska do cywila zastępy wyszkolonych szeregowców sanitarnych.

W tym wysiłku wojskowej służby zdrowia przychodzi częściowo z pomocą cały naród, składając ofiarne daniny na cel Polskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża, którego zadaniem jest ścisła współpraca z wojskiem w czasie wojny.

W. G.

TADEUSZ WALEWSKI
Gimn. im. E. Rontalera — W-wa

Uczeń czy sportowiec?

Zapewne niejeden z Czytelników, przeczytawszy taki tytuł, pomyśli ze zdumieniem. Co za zestawienie? Czy uczeń nie może być sportowcem, a sportowiec uczniem? A-leż nie—odpowiadam skwapliwie—może być, wszystko może być—ale muszę z przykrością dodać — bardzo, bardzo często tak nie jest t. z. najlepszy uczeń jest prawie najgorszym sportowcem, najlepszy sportowiec — najgorszym uczniem. Sportowiec gardzi molem książkowym, ten zaś patrzy na swego kolegę — piłkarza, czy innego atletę, jak na jakiegoś pariasa.

Teraz oto skierowali na się wzrok pełen nieprzyjaźni i lekceważenia i usiłują sobie powiedzieć, co myśli jeden o potężnych bicepsach przeciwnika, drugi o Sokratesie, Horacym, Newtonie — o wszystkich mędrcach razem wziętych. Jest łacina, więc zaraz profesor zbeszta atletę, że nic nie umie, nie przygotował na dziś lekcji i w ogóle... co tam... powinien wapno nosić, albo buty czyścić, a nie zabierać innym miejsca w szkole. A jutro będą ćwiczenia cielesne i klasa będzie ryczała ze śmiechu, patrząc, jak najlepszy łacinnik będzie skakał wzwyż, nie mogąc przejść 70 cm, a najlepszy polonista, świetny deklamator, poeta, łokciem będzie ścinał w siatkówce.

Profesor ćwiczeń cielesnych będzie nie mniej wściekły podziwiając ich wyczyny, niż profesor łaciny, słuchając bzdurstw najlepszego lekkoatlety o literaturze łacińskiej.

Zwykle, gdy dwóch ludzi gardzi sobą, to przynajmniej jeden z nich ma słuszne powody do okazywania pogardy; tu jednak nie można obiektywnie powiedzieć: dobry uczeń lepszy jest od dobrego sportowca, czy odwrotnie. Zarówno bowiem jeden, jak i drugi są pewnego rodzaju kalekami, a czy kaleka bez lewej nogi może gardzić kaleką bez prawej i czy taka pogarda będzie usprawiedliwiona przez człowieka zdrowego? Zdrowy człowiek roześmiałby się i powiedział:

— Zbierajcie pieniądze na dwie protezy, abyście przestali świat śmieszyć widokiem swego kalectwa, a nie śmieje się jeden z drugiego.

Spojrzyjmy teraz na mola książkowego o zapadłych piersiach, słabych, zwiotczałych mięśniach, krzywiącego się na każdy trud fizyczny. No, czyż to nie kaleka? Uczy się bardzo dobrze, jest posłuszny, grzeczny, ale nie zdolny do wykonania pracy fizycznej, jaką jego rówieśnik, chłopak normalny wykona bez wysiłku. A jego przeciwieństwie—atleta, potężne piersi, rozwinięte muskuły, pięści, którymi wołu można ogłuszyć, a głupi, a tępy — wystarczy, by wstał do odpowiedzi, a już wszyscy kładą się ze śmiechu na ławki.

I z czego tu być dumnym?

...Jednak takie absurdy istnieją. Np. mam kolegę sportowca, reprezentanta szkoły we wszystkich niemal konkurencjach. Wspaniale skacze, biega, miota, gra w piłkę i siedzi czwarty rok w trzeciej klasie. Jego koledzy już maturę mają, a on sobie w najlepsze w piłkę gra i myśli zapewne piąty rok siedzieć.

Tak to się charaktery marnują. Idzie młodzież dwoma krańcowo przeciwległymi drogami i nie spotyka nic, co by ją ściągnęło, ześrodkowało i pchnęło na jedną wspólną drogę. Gdy się kiedyś mówiło, że w reprezentacjach sportowych nie mogą brać udziału uczniowie mający dwójki, cóż się okazało?

Nie można było wystawić reprezentacji!

Połowa reprezentantów to właśnie dwójkowicze i bez nich nie byłoby żadnej gry, żadnych zawodów na możliwym poziomie. Trzeba więc było odrzucić projekt jako nierealny i czekać lepszych czasów. Ano czeka się. A takie zarządzenie przydałoby się. Sport bowiem posiada olbrzymią siłę magnetyczną i na pewno warto by było trochę się potrudzić, aby pozbyć się niedostatecznych i móc zagrać w reprezentacji.

Z drugiej strony należałoby skończyć z tą dziwną pobłażliwością, z jaką się patrzy na lekceważenie ćwiczeń cielesnych przez różnych, zasuszonych, zgarbaciałych za młodu czy też pulchniutkich primusów.

Przychodzi bowiem taki „wzór ucznia" na lekcję gimnastyki, staje na zbiórce podczas sprawdzania listy, a potem idzie do domu albo przypatruje się ćwiczącym.

Może kiedyś naprawdę zmądrzeje i będzie usiłował wyprostować zgarbione plecy, rozwinąć słabe mięśnie, ale będzie zapóźno. Dziś i tylko dziś, dopóki jest się młodym, można się błędów budowy pozbyć, ale trzeba nad sobą pracować, a przede wszystkim trzeba się nauczyć szanować gimnastykę i traktować ją na równi z wszystkimi innymi przedmiotami nauczania. A wreszcie, gdy Ci własne dobro jest obojętne i gdy uparłeś się zostać człowiekiem kaleką, może poruszy Cię fakt, że Polska — Polska, którą swą Ojczyzną mienisz, stoi w porównaniu z innymi narodami w dalekiej kolejności pod względem sprawności i tężyzny fizycznej. Kilka sukcesów międzynarodowych, to jeszcze niewielki zaszczyt; wstydem natomiast jest, że Polska wystawiająca najsilniejszą reprezentację przegrywa już dwukrotnie z Niemcami wystawiającymi w tym samym dniu 5 reprezentacji! Wstydem jest, gdy sobie uświadomimy, że Niemcy mogą wystawić 5 zwycięskich reprezentacji, a Polska z powodu choroby kilku zawodników nie może wystawić jednej! ATIS?!—nie mówmy.

Niech ten wstyd stanie się i waszym udziałem młodzi Polacy, którzy gimnastyki i sportu nie uznajecie.

DZIAŁ literacki



Zapomniany piewca życia

1839 ADOLF DYGASIŃSKI 1902

(W 100 rocznicę urodzin).

Na polskim parnasie literackim mało który z pisarzy zasługuje w tej mierze, co Adolf Dygasiński na miano piewcy. Dygasiński bowiem, nie tylko jako powieściopisarz posiada piękną kartę w dziejach literatury. Jest on przede wszystkim twórcą nowego zjawiska w sztuce pisarskiej, twórcą nowego świata, w którym szumią lasy, zwierzęta i ptaki walczą o byt, człowiek w znojnym trudzie wykuwa lepsze jutro, w którym miłość i zbrodnia są istotną treścią życia.

Świat ten istnieje rzeczywiście, ma realny i wieczny byt, gdyż dokoła, na każdym kroku widzimy przewijających się bohaterów Dygasińskiego. Na własne oczy obserwujemy ich ruchy, wszystkimi zmysłami zaszywamy się w tą samą hazardową grę — w codzienną walkę o byt, w gorączkowe dążenie ku lepszemu jutru.

Ta niepospolita realność twórczości Dygasińskiego, ta zawsze aktualna prawda spostrzeżeń wynika stąd, że artysta opisywał to, co naprawdę zgłębił i przeszedł, że był naturalistą — prawdziwym piewcą życia. Nie mógłby przecież twórca „Godów życia" pozyskać tyle sympatii dla swych maluczkich bohaterów, gdyby nie umiał ukazać ich wraz z otoczeniem w całej prawdzie. A że umiejętność tę posiadał, że umiał przypisywać swym bohaterom konkretne, życiowe własności, zdolny był do stworzenia takich dzieł, nasyconych realizmem życia, jak „Wilk, psy i ludzie", „Co się dzieje w gniazdach", czy wreszcie „Gody życia".

Dygasiński należał do owej literackiej plejady, która rozkwitła u nas po powstaniu styczniowym i przedstawia okres wielkiego rozwoju literatury pozytywistycznej. Wpływ epoki wywarł na umysłowości autora „Beldonka" niezatarte piętno. Jako pozytywista roztrząsa wiele spraw „do których nie czuł się powołany". „Dygasiński nie umiał się zdobyć — twierdzi Zygmunt Szweykowski — na stanowisko zdecydowane i czyni wysiłki, by pogodzić ze sobą najbardziej sprzeczne pierwiastki: materializm, religię ludzką, chrześcijaństwo i panteizm". Myśl pisarza błąka się po wyniosłych i przeważnie krańcowo zróżnicowanych szlakach i przez to jego talent nie jest właściwie skupieniem życia duchowego epoki pozytywizmu.

O wiele zato szczęśliwszym, oryginalniejszym rysem jego twórczości było to, że wśród dopiero co kiełkującego prądu zwrócenia się frontem ku warstwom niższym, on pierwszy wystąpił jako prawdziwy demokrata, dając w licznych nowelach wymowny obraz wsi. Wśród ówczesnego „demokratyzmu w powijakach", Dygasiński zajaśniał potęgą uczucia, szczerym współczuciem, wyrażonym w obrazkach: „Niezdara" czy „Za krowę"; po stokroć przewyższył poetycznych i marzycielskich chłopomanów doby popowstaniowej. Dygasiński szczerze kochał wieś, gorąco uwielbiał warstwy niższe, przypatrywał się im w skupieniu i brał z tego życia nizin garściami gorzką prawdę, którą w utworach przyodziewał w formy życiowe i realne. W obrazach wiejskich dysponował czystą, żadnym nalotem nie spaczoną gwarą ponidzkiego ludu. Dzięki temu był on — jak się wyraził Żeromski — „zapomnianym władcą pewnego obszaru mowy naszej, języka nizin i dalekości słowiańskiej, lasów i pól, pracy w polach i po chałupach"; przez to również Dygasiński „bardziej nas zbliżył do pierwoźródła mowy słowiańskiej, niż wszyscy pisarze ostatnich lat i kilkudziesięciu razem wzięci". Dzisiaj, gdy utwory ludowe posiadają ten sam folklor i tę samą gorzką wymowę, Dygasińskiemu przywraca się należne stanowisko. Krytyka natomiast współczesna pisarzowi, darzyła jego wiejskie utwory zimną obojętnością i nawet największe powagi sarkały na to, że autor „Margieli i Margielki" zakłuca „normalny" stan rzeczy zbyt drastycznymi sytuacjami.

Pełne uznanie w twórczości Dygasińskiego znalazł od samego początku kult natury, kochanej przez niego tak żarliwie, kult, który „ściśle konkretyzował się z przeżyciami powieściopisarza, jako miłość ziemi ojczystej, z którą się Dygasiński zżył, którą znał od dzieciństwa, z którą związana była jego przeszłość i jego wspomnienia." Autor

opowiadania „W puszczy" zespolił się węzłem serdecznym z rodzinnym kolorytem pól i lasów, na wieki zaprzyjaźnił się z tymi kurnymi chatkami, które dla niego „są droższe niż rycerskie kędyś zamki", z zagonem, który „ciało i duszę ciągnie do siebie".

Jak Żeromski, przystępując do każdej pracy, poprzedzał ją westchnieniem do rodzinnych Gór Świętokrzyskich, tak Dygasiński każdą nowelę wiejską osnuwał na tle pięknej przyrody Ponidzia. To był jedyny niezawodny grunt jego twórczości.

Z tego też stanowiska czci dla ziemi rodzinnej i uwielbienia przyrody, snuje Dygasiński serię lirycznych opowiadań, których bohaterami są przeważnie prawowici mieszkańcy lasów i pól... zające, wilki mysikróliki, lub zwierzęta domowe... psy i inne.

Doznawał nadzwyczajnej rozkoszy, kiedy opisywać mu przyszło wiosenne odrodzenie natury. „Nikt po mojemu — pisał „W niewoli u dzikich" — nie spostrzegł uroczych dni wiosennych, kiedy przyroda rwała się do życia... Moim jest to lazurowe niebo, pod którym bystro szybuje jaskółka, lub we wspaniałych kręgach kołują bociany. Ileż ja szczęścia doznałem, tworząc te wszystkie obrazy... Robiłem świat według własnych upodobań". Czuł się więc patronem i władcą tego umiłowanego środowiska, piewcą rodzinnego folkloru, poetą zwierząt i ptaków.

W opisywaniu przyrody żywej subtelne uczucie Dygasińskiego przeważa nad obrazowością, która u pisarza nie jest dość plastyczną i dlatego niektóre nowele i dłuższe opowiadania spotykają się z zarzutem wadliwego przeprowadzenia całości, pomimo oryginalnej formy. W każdym razie był to pisarz utalentowany, pełen dynamiki twórczej i nawskroś swojski. W jego utworach nie słychać nigdy cudzego echa ani pożyczanego dźwięku. Był bowiem piewcą polskiej rzeczywistości.

Gdy teraz obchodzimy stulecie jego urodzin takim zachowajmy go w pamięci.

Józef Brede

Kielce.
Liceum im Żeromskiego.

NA MARGINESIE KSIĄŻEK ARKADEGO FIEDLERA

Lubimy wędrować. Choćby w marzeniach czy w snach, choćby nawet palcem po mapie — od szafirowych rozlewisk mórz, poprzez zielone doliny rzek, do jaskrawo oznaczanych pasm górskich, wreszcie, po niepokojąco białych plamach niezbadanych dotąd obszarów. Jeżeli już nie w każdym, to w co dziesiątym przynajmniej człowieku drzemie niespokojny duch ciekawości i głodu wiecznie nowych wrażeń. Jednych pędzi po świecie, każąc im tułać się po dalekich morzach i lądach, inni marzą tylko o takich wyprawach, wodzą oczyma po mapie (niekoniecznie na lekcjach geografii) i czytają książki o podróżach.

A książki o podróżach bywają bardzo różnorodne. Jedne — o charakterze raczej naukowym, suche i nieprzystępne, przeładowane cyframi statystyk, pisane są jakby bezosobowo.

Nie ma w nich życia, choć mówią przecież o życiu ziemi i ludzi. Są inne, w których przyroda odgrywa — jakże smutną i poniżającą rolę bezdusznej dekoracji, egzotycznego tła, na którym autor snuć może (niestety bezkarnie) dzieje płomiennych uczuć równie płomiennego Johna, Jacka czy Dicka do zawsze takiej samej „złoto" względnie „kruczo - włosej" (zależnie od upodobań autora) Mary czy Lilian. Po przepuszczeniu bohaterów powieści przez wielce skomplikowany system filtrów tysiąca mniej lub więcej nieprawdopodobnych przygód i niebezpieczeństw, z których oczywiście bohaterski „on" wychodzi zwycięsko, kończy się taka fascynująca historia nieuniknionym „happy - endem" „na łonie natury". Z każdego słowa wyziera blaga, pustka, banał. Jest tego rodzaju powieści bardzo wiele i są nawet dość chętnie czytane, ale się do nich nie wraca. Są jeszcze inne — w których znaleźć można odzwierciadlenie prawdziwego życia przyrody i życia człowieka na tle przyrody — i do tych ostatnich, pozbawionych fałszu i mętnej gadaniny, należą właśnie książki Arkadego Fiedlera.

Fiedler pisze o Ameryce, ale nie od strony nowo - yorskich drapaczy chmur, milionów aut, fabryk tętniących hukiem maszyn i ludzi uganiających się za pieniądzem. Tematem jego książek będzie puszcza w dorzeczu Amazonki, „pachnące żywicą" lasy Kanady, życie ludzi i zwierząt na tle prawie zupełnie jeszcze nieujarzmionej, pierwotnej przyrody. Książki te są bardzo proste, a równocześnie niezmiernie bogate w treść i uczucie. Wywierają one na czytelniku dziwny jakiś urok świeżości i bezpośredniości. Styl Fiedlera jest bardzo zwięzły, jasny i nieskomplikowany. Autor dzieli się z czytelnikiem wrażeniami ze swoich podróży, tak, jak gdyby opowiadał mu je bezpośrednio. Nie ma w jego stylu żadnego sztucznego zdobnictwa. Słowa Fiedlera są bardzo oszczędne, bardzo stonowane, choć nigdy bezbarwne. A co najważniejsze, wyczuwa się od razu, że nie ma w nich ani odrobiny blagi. W książkach takich jak np. „Ryby śpiewają w Ukajali", czy „Kanada pachnąca żywicą" zamknięte jest życie. Biali i czerwoni ludzie, mądre bobry, cudowne kolibry i motyle, nawet przedziwne rośliny z lasu dziewiczego żyją, a co więcej — stają nam się bliskie. Fiedler bardzo silnie odczuwa piękno przyrody, a ponadto ma jakiś zmysł, albo może raczej dar, który pozwala mu ją zrozumieć. O jednej z pierwszych swoich książek wyraził się autor, że była ona „sercem pisana", kto wie, czy nie jest to najtrafniejsze określenie charakteru książek Fiedlera.

W tym określeniu szukać należy przyczyny, dlaczego nie dziwią nas powiedzenia tego rodzaju jak np. to: „od kilku dni przyjaźnię się z rozkosznym motylem".

Nie wydaje nam się to dziwne, ani niezrozumiałe, bo wiemy, że Fiedler kocha przyrodę.

To umiłowanie przez badacza przedmiotu badania, to coś bardzo pięknego i niepowszedniego.

Książki Fiedlera dlatego jeszcze są tak bardzo zajmujące, że autor szkicuje w nich bardzo wiele niezmiernie ciekawych szczegółów, nie zacierając jednak przez to wyrazistości konturów całego obrazu z olbrzymiej powodzi faktów, które dostrzega po mistrzowsku badawczym okiem obserwatora, wybrać umie zawsze najcharakterystyczniejsze, najbardziej wymowne.

A. W



POEZJA *granatowego* MUNDURKA

czyli rok szkolny w oczach młodego wierszykopisa *)

WRZESIEŃ.

Lato poszło już na emeryturę, a chłopiec w granatowym mundurku do szkoły.

W nozdrzach jeszcze ma zapach pszenicy, a pod przymkniętymi powiekami — stubarwną mozaikę wakacyjnego szczęścia:

„Akacje pachniały wakacjami,
a wakacje akacjami.
Dni kwitły w ogrodzie na klombach pachnących,
a noce się śniły na łące

Rankiem się ogród wlewał do pokoju,
przez okno otwarte narozścież
i poił fiołkami mnie, poił
i kwiaty rzucał na pościel.

Wioska — miodnie dojrzała —
grzała się w słońcu wśród pasiek.
Pęczniały lipy — pszczołami dzwonił lipiec
w Pasiecznej.

Wszystka mi mądrość z głowy wywietrzała —
ta trudna mądrość, ta nabyta w klasie...
Tylko mi wkoło pachniały, jaśniały
te łatwe słowa: miodne i słoneczne.

Po polach żniwa szumiały kłosiście —
jak cudnie życie w życie zbłądziło!
jak cudnie — — —
mdlały upite słońcem srebrnym kiście
— Zbyt wiele szczęścia było
W samo lipcowe południe".

Pod koniec września mózg zwolna zaczyna się przyzwyczajać do trygonometrii, do gramatyki, do greki i łaciny. Na katedrze siwy pan z bródką, w rogowych okularach, dokonywa prezentacji:

— Panowie pozwolą, to pan Horacy, znany poeta rzymski.

Pan Horacy uśmiecha się ironicznie z karty podręcznika szkolnego, a dobrze wychowani uczniowie stukają obcasami i mówią: „Bardzo nam przyjemnie, cieszymy się niewymownie z poznania tak sławnego poety".

Później — pan Horacy zaczyna się zwolna obracać w grobie, słysząc recytację: „tu ne quaesieris - scire nefas, — quem mihi, quem tibi...", a przy „Exegi monumentum aere perennius" już wiruje jak wrzeciono...



PAŹDZIERNIK—LISTOPAD.

Jeden z tych miesięcy, w których posępno — pogoda tak nastraja człowieka, że z nudy, rozpaczy i rezygnacji zaczyna się uczyć. Ale znajduje wieczorami czas na samokształcenie, na dobrą książkę i na t.zw. pracę społeczną, polegającą na pisaniu mądrych referatów dla różnych kółek, w których — tradycyjny zwyczaj — z wyjątkiem prezesa i sekretarza — nikt nic robić nie chce. Uczeń - prezes ma dobre, poczciwe, gorące serce. Im głębiej się wdroża w zagadnienia idącego dnia, tym żarliwszy odczuwa głód idei. Na przykładzie własnego kółka spostrzega, że świat dzieli się na pracowitych i wygodnych. Jedni pracują i chudną, a drudzy patrzą i uśmiechają się w kącie, przybierając na wadze. Szlachetny zapaleniec przygląda się strukturze społecznej kraju i widzi to samo. Czuły na krzywdę społeczną, pod wpływem lektury Żeromskiego, który go porywa, zachwyca i karmi, pisze:

Nie patrzcie nam w oczy z zawiścią,
robotnicy obdarci i głodni —
my sercem jesteśmy z wami,
my — waszych spojrzeń niegodni...

Każdy z was, głodnych i mściwych,
tnie nam sumienia jak mieczem!
Z waszych to smutnych twarzy
uczym się krzywdy człowieczej...

Codzień chodzimy do szkoły,
a wy — do twardej i hardej roboty.
Z książek, z serc nową budujem Polskę —
potrzebne nam wasze młoty!

I nie spoczniemy prędzej
w trudzie o przyszłość szczęśliwą,
aż wasze oczy uciszy, rozjaśni
już nie utopia, ale — sprawiedliwość!

Pierwszy ferment w życiu chłopca w granatowym mundurku, pierwsze konflikty z otoczeniem, pierwsze dyskusje i stawanie okoniem prefektowi na lekcjach religii, bez czego nie ma późniejszych twardych wyznawców, młody las dojrzewa i krzepnie moralnie. Miotany różnymi doznaniami, z kłębowiska rozpalonych myśli wydobywa struny, świadczące o szlachetności młodzieńszej.

GRUDZIEŃ—LUTY.

Aniśmy się nie spostrzegli, a już wakacje świąteczne. Trochę nart, trochę ciasta, trochę kina, gości, wzruszeń wewnętrzno rodzinnych, spaceru i — już karnawał. Szkolny karnawał! Opowiadał kiedyś autor „Szczenięcych lat", że za jego młodości trzy dni bez przerwy bawili się panowie gimnazjaści, w białych rękawiczkach i w świecących lakierkach pani Terpsychore gibasy wyczyniali, a gdy jęzory wywalili z



nadmiaru przyjemności, szli spać na stoły bilardowe...

Teraz jest inaczej. Przyjemność trwa jeden dzień. Ściślej mówiąc — 5 godzin. Od 5 pp. do 10 z minutami. Przyjemności asystują troskliwe mamusie i tatusie oraz bezmiar ciała pedagogicznego. Ale zabawa — co się patrzy! Niech się Paryż ze swoimi „białymi łóżeczkami" schowa! Wszystkie bale w Operze prochem są i niczym! Fraków wprawdzie nie ma, ale Wersal, że paluszki lizać! W sali gorąco, jak w tym piecu gorejącym, do którego biblijni młodzieńcy na rozgrzewkę weźli. A co emocji, co wzruszeń i tremy! A co za dystynkcja w gestach i w mimice! A ta elokwencja, ta konwersacja arcytowarzyska!

---

*) Wiersze, którymi zilustrowano powyższy felieton, pochodzą ze szkolnej twórczości Witolda Deglera, rozrzuconej w pisemkach uczniowskich.

Białe bluzeczki zaczerwienionych panienek, bezlitośnie sztywne kołnierzyki wyczesanych adonisów! Gwar, że orkiestry nie słychać... Saksofon miesza się z chichotem rozpromienionych podfruwajek. Hej, balik, rozkoszny pierwszy balik!

,Serpentynami okręcić się, owinąć;
oczy przymknąć — wdal płynąć! —
Jak lekko tańczy się walca:
zwiewnie, miękko, na palcach!
Nie skończymy go tutaj — zgubim się w bezkresie,
kolorowy balonik wgórę nas uniesie!

Do klapy mundurka pachnący tuli się kotyljon:
Cieszę się, cieszę — jakbym wygrał miljon!...
Płyniemy dokądś — zapamiętałe w szczęściu bogi —
drogi nie znamy — drży w nas niepokój błogi —
nie można, przestać: rytm podrywa nam nogi...!

MARZEC—MAJ.

Kto zna się na kalendarzu ten wie, że po karnawale czas mija „lux-torpedą" i — nadchodzi wiosna. Motyle kwitną na kwiatach, a ptaszki w powietrzu. Kolorowa przyroda ciśnie się do mózgu i serca.

Pióro samo wskakuje do ręki i pisze wiersze. Pisemka szkolne pęcznieją od elektrycznych wierszy, zoologiczna radość życia bije z każdej strony. Cóż tam ortografia, cóż przecinki — grunt natchnienie. W pełnym gazie tabun natchnionych pędzi na Pegazie i pisze:



„Dalej sztubacka szalona gromado!
Za miasto, nad rzekę, do lasu!
Niech szumi młodość, niech kipi twa radość:
Śpiewaj, skacz, śmiej się, wykrzykuj, hałasuj!

Staną pewnego dnia szkolne zegary
I już przestanie dzwonić biedny dzwonek:
Z profesorami pójdziem na wagary!
(Godziny będą usprawiedliwione...)

Wielkiego szczęścia uczyć się będziem na łące —
W klasowych dziennikach profesor zapisze: słońce".

Z Wiosną i z Poezją w parze chadza miłość. Pierwsza miłość od nieśmiałego wejrzenia. Snuje się piękna, raz tylko w życiu przeżywana „legenda aurea". Z wieczornej samotności rodzą się tęsknoty.

CZERWIEC.

Rok szkolny dobiega końca. Miłość i praca społeczna idą na bok. Zaczyna się finisz. Ten się uczy, kto się na końcu uczy — jak mówi przysłowie. Ucząc się szybko, uczy się człek dwa razy! Morderczy finisz plącze wszystko w głowie, ale coś tam zawsze zostaje. Najgorzej to z datami historycznymi, bo wciąż się mylą z numerami telefonów.

Ubój maturalny już wisi w powietrzu. Już czuć krew. Już pedlowie smutnie zwiesili wąsy i stoją na korytarzach z minami karawaniarzy... Każdy delikwent kuje, że aż drwa lecą... W czasie takich nocnych wkuwań budzi się czasem naiwna tęsknota:

Musi już wiosna na dworze:
zapachniał w zeszycie stożek —
Boże, Boże...

Musi że słońce, bo świeci —
„V stożka: $R^2 \pi \frac{W}{3}$ *"*
Chyba — kwiecień

Wietrzyk ciepłem dmuchnął w rzęsy —
„de Montfort — rzeź albigensów"
i — tangensy!...

Szerzej okna nie otworzę,
choć pachniesz pokusą, wiosno! —
Boże, Boże...

W Kongo murzynki bez wiedzy rosną!...

Okazuje się jednak w końcu, że matura nie jest taka straszna jak ją malują. Bicie serca, nerwy naprężone jak postronki, ubytek na wadze, parę zmarszczek na czole, dwa albo trzy siwe włoski na skroniach, z pół kubka siódmego potu, i — po wszystkim. Można już włożyć kapelusz, a czapkę gimnazjalną umieścić w muzeum rodzinnym, na strychu.

Panowie w nowych kapeluszach nie zarzucają pisania wierszy. Jeden ze świeżodojrzałych pląsając po mieście z miną lorda, co wygrał miliardówkę, zawiadamia o swym sukcesie młodszych kolegów w szkolnym pisemku:

Na wiosnę zawsze przypada ten egzamin:
gdy drzewa kwitną i miasto pachnie bzami,
gdy na wagary walą młodzi koledzy —
trzeba najwięcej umieć, trzeba najwięcej wiedzieć...

Odsunęliśmy wiosnę nabok, na „potem" —
choć tak zapraszały nas kwiaty i słońce!
Już uciec wielką mieliśmy ochotę
i szkołę gdzieś... w Afryce skończyć!

Każdy z nas chudł i był chory,
spał mało, jadł tylko z musu;
w parkach zakwitło futurum i aoryst
w powietrzu roje latały sinusów...

A teraz na ulicach przybyło kapeluszy
i uśmiechów zdobywczo-śmiałych!
W nowe życie wkracza z animuszem
legjon ludzi dojrzałych! —

I oto wracamy do miejsca, z któregośmy wyszli. Do wakacyj. Książki z furkotem, idą w kąt. Kajak zastępuje



kałamarz, miast dzwonków szkolnych dzwonią skowronki, w niebo lipcowe wpięte. Chłopiec w granatowym mundurku opuszcza miasto, wykrzykując:

Oto znów jestem dzikusem
I dziki tryb życia wiodę!
Kocham wakacje i słońce
I lasy i przestrzeń i wodę!

Zda się, że żyję powietrzem:
Tak lekko mi — nic mi nie trzeba!
Wystarczy ten kawał szczęścia,
Przykryty kawałkiem nieba.

Codzień kołysze mnie woda,
A słońce osusza i grzeje —
Z radości na piasku tańczę,
Ze szczęścia na trawie się śmieję!

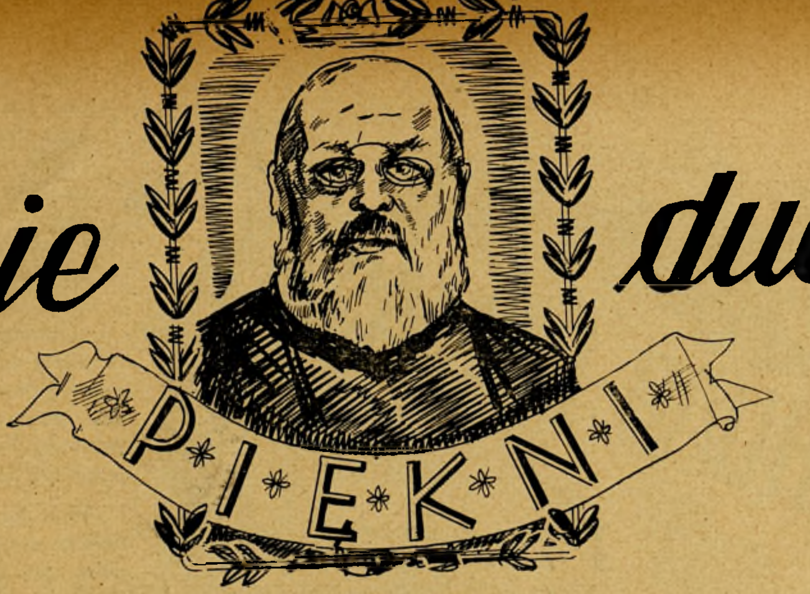
W mięśniach przedziwną mam siłę —
Szaloną, dziką, namiętną!
W żyłach przelewa się lato
W jedno gorące tętno!

— — — — — — — —

A gdy już słońce na zachód się kłoni —
Wiem, że nie zajdzie, wiem, że się nie schowa:
Na noc do serca mojego się schroni
I rankiem z serca wzejdzie mi od nowa!

Tadeusz Nowakowski.

Ludzie



duchem

BRAT ALBERT (ADAM CHMIELOWSKI)

Przepowiadano mu karierę malarską. Monachium i Kraków ugruntowały jego sławę, jako zdolnego malarza. Poczęto nań zwracać uwagę, ba nawet opinia publiczna zaczyna się interesować coraz gorliwiej młodym malarzem. Lecz nie z powodu jego prac malarskich, nie — zaczynają się interesować osobą młodego artysty. Krążą o nim w salonach najprzeróżniejsze powieści po wysłuchaniu, których jedni wzruszali ramionami, inni stukali się w czoło, dodając: zwariował! Mówiono, że Adam Chmielowski gromadzi w swojej pracowni męty społeczne, kobiety upadłe, wyrzutków społeczeństwa, dopomagając im materialnie z własnych funduszów (za sprzedane obrazy). Mówiono także, że łazi po przytułkach, gdzie dopomaga biednym. Kładziono te „wybryki" na karb jego malarskiej ekscentryczności, dopatrując się w jego pracy czegoś „niezwykłego", godnego jedynie członka braci apollinowej, nie dostrzegając zaś — człowieka. Adam Chmielowski szukał drogi do Boga, odnajdując ją w malarstwie i — miłosierdziu.

Pewnego dnia rozeszła się wieść, że malarz Chmielowski przywdział szary habit zakonny:

OBIIT ADAM
NATUS EST ALBERTUS

— Gdybym miał dwie dusze — zwierzył się kiedyś przyjaciołom — jedną oddałbym Bogu, a drugą malarstwu.

Adam Chmielowski miał niestety tylko jedną duszę. Czyż mógł wybierać? Oddał całego siebie Bogu, wyrzekł się tego, co najbardziej na świecie ukochał: sztuki. Jak ongi najpiękniejszy ze świętych, Franciszek z Assyżu, tak brat Albert po przywdzianiu habitu rozświetla mroki ziemskie. Stukając drewnianym kikutem nogi (pozostałość z 63 r.) w bruk, schodzi pomiędzy zaułki, oddając im siebie. Praca idzie z początku opornie. Nie zrażają go liczne trudności, ani obojętność cierpiących i posiadających. Kołacze do ich serc, naucza miłosierdzia. Od jednych i drugich żąda miłości i poświęcenia. Spala się serce gorejące w trudzie, wyrasta owoc żmudnej pracy.

Brat Albert buduje swój pomost ku Bogu. Zachęceni jego przykładem poczynają się garnąć — mężczyźni i kobiety — towarzysze walki. Okrywają ich szare proste habity zakonne, twarda reguła jałmużników każe zapomnieć o dobrach i rozkoszach ziemskich. Rosną zastępy rycerzy miłosierdzia, bracia i siostry Zgromadzenia Albertynów rozpraszają się po całym kraju, powstają coraz to nowe przytuliska i bursy. Idą jak oracze pracujący na ugorze. Nie ustają w pracy, przykładem dla nich jest brat Albert.

Dobrotliwy starzec o mądrych oczach, nie bacząc na swój podeszły wiek pracuje, jest sługą ubogich, serce jego goreje ustawicznie płomieniem miłosierdzia, podsycanym widokiem nędzy ludziej.

Cierpi; krwawi mu się serce, gdy spostrzega ogrom zła na świecie. Nie pomny na własne cierpienia fizyczne pracuje od świtu do północy: tyle jest jeszcze biednych — mówi z łagodnym uśmiechem na twarzy.

Dzieło żywota spełnione. Ogrom miłosierdzia i serce gorejące jednają mu następców. Odchodzi w spokoju, bo wie, że jego dzieło nie pójdzie na marne. Umiera w dzień Bożego Narodzenia, odchodząc z tego świata in odore sanctitatis.

Adam Chmielowski urodził się dnia 20 sierpnia 1848 r. w Igołomii nad Wisłą w powiecie miechowskim. Ojcem jego był Wojciech Chmielowski herbu Jastrzębiec, naczelnik komendy celnej. Adam po ukończeniu szkół średnich w Warszawie zapisuje się do wyższej szkoły rolniczo - leśnej w Puławach.

W czasie jego studiów wyższych wybucha powstanie. Młodzież Akademii Puławskiej podąża do Leona Frankowskiego, który stoi ze swym oddziałem powstańczym w Kazimierzu w pobliżu Puław. W gronie akademików - powstańców znalazł się też Adam Chmielowski. Po rozbiciu oddziału Frankowskiego zostaje uwięziony przez Austriaków i przewieziony do Ołomuńca, skąd udaje mu się uwolnić i przybyć do Krakowa. Tu przyłącza się do konnego oddziału Zygmunta Chmielewskiego, w którym służy jako adiutant łącznikowy. W czasie tej służby gorliwie spełnianej zostaje ciężko ranny i schwytany przez Moskali. Ponieważ noga była zupełnie strzaskana, amputowano mu ją.

Wyjeżdża do Paryża, potem przenosi się do Gandawy, gdzie kończy studia inżynierskie. Potem udaje się do Monachium. Sztuka jest

Przybywa do Krakowa, gdzie zapoznaje się z przytułkiem miejskim dla biednych mężczyzn. Stan przytułku jest opłakany: jedna wielka izba, w której mieści się dwieście osób, w izbie brak podłogi, na ziemi pełno śmieci i robactwa. Jeszcze bardziej były opłakane stosunki w przytułku dla kobiet. Na widok tej nędzy Adam Chmielowski wchodzi w ślady św. Franciszka z Assyżu. Jego pracownia malarska zamienia się wkrótce w przytulisko, które on utrzymuje z własnych funduszów, zebranych z malowania obrazów.

Skoro przekonuje się, że idąc tą drogą, wiele nie zdziała, przywdziewa za pozwoleniem władzy kościelnej tercjarski habit zakonny i na własną prośbę otrzymuje od miasta opiekę nad przytuliskami. Idąc za wzorem św. Franciszka, własnymi rękami doprowadza przytułek do porządku. Spiżarnię zaopatruje z jałmużn, które hojnie się sypią w czasie kwest. Niebawem znajduje pomocników wśród mężczyzn i kobiet. Mężczyźni obejmują opiekę nad przytuliskiem męskim, kobiety zaś nad żeńskim. Pomocnicy przywdziewają habity i prowadzą życie zakonne według reguły św. Franciszka.

Zakon rozrasta się, powstają następne przytuliska we Lwowie, Przemyślu itp. Brat Albert umiera 28 grudnia 1916 r.

Na szlaku BAGHDAD-DAMASZEK



Jedną z najważniejszych dróg karawanowych, stanowiącą w średniowieczu trakt handlowy między Azją i Europą, jest przejście od Baghdadu do Damaszku. Szlakiem tym szedł jedwab i porcelana z Chin, korzenie z Indii, dywany z Persji. W portach Syrii i Palestyny zjawiali się Włosi, Hiszpanie, Grecy przywożąc wyroby z Europy: broń, która jak dziś, tak niegdyś stanowiła artykuł pierwszej potrzeby na wschodzie, drzewo, zboże, bursztyn. Był to tak zwany handel Lewantyński.





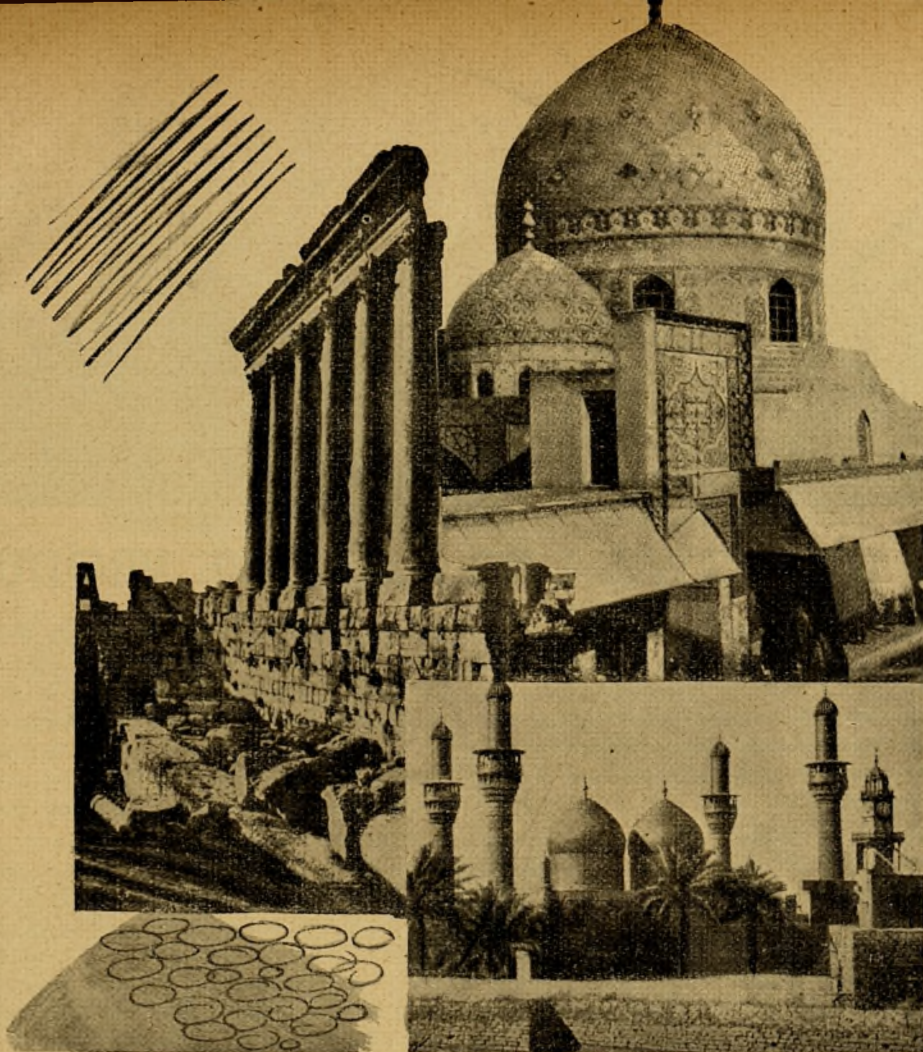
Prócz licznych karawan handlowych wychodziły z Baghdadu karawany pielgrzymów, którzy dążąc do Mekki nie tylko chcieli spełnić obowiązek wiernego, lecz zdobyć również święty i zaszczytny tytuł hadżiego. Powolne te karawany cierpliwie posuwały się wśród spiekoty dnia i wyiskrzonych mroźnych nocy. Podróż między Baghdadem i Damaszkiem trwała blisko 2 miesiące.

Wielka Wojna ożywiła pustynie. Ustały wprawdzie karawany, lecz za to zjawiły się najpierw szczepy Arabów, które w imię rozbudzonego nacjonalizmu wystąpiły przeciw Turcji. Dzicy wojownicy, którzy nie opuszczali przedtem upalnego serca Arabii marzyli teraz po nocach o zdobyciu bogatych i ludnych miast Syrii i Mezopotamii. Potem przybyły regularne wojska angielskie i francuskie, które haniebnie zdradziwszy sprzymierzeńców arabskich, wykorzystały dla siebie owoce zwycięstwa. Na rozległych przestrzeniach ustanowiono kolonie i mandaty państw Europejskich. Odkąd na szlakach karawanowych zjawiły się samochody pustynia przestała być niebezpieczna. Początek tej komunikacji dali bracia Nairn. Młodzi dwudziestoletni Szkoci właściciele 4 starych taksówek, pierwsi wpadli na myśl nawiązania stałej komunikacji transpustynnej. Uważano ich za wariatów. Tymczasem mimo ogromnych trudności transport zaczął się solidnie opłacać.. Stare taksówki zamieniono na nowe wozy cadillaca, potem autobusy. Wielkie karawany samochodowe ruszały w drogę pod eskortą aut pancernych. W razie zabłądzenia samoloty Royal Air Force niosły pomoc zagubionym w pustyni. Stan anarchii nie mógł trwać długo. Francuzi sprowadzili Legię Cudzoziemską, spachisów marokańskich, korpus meharystów. Anglicy zorganizowali arabską policję samochodową. Szybka i energiczna akcja tych wojsk uspokoiła na tyle rozbójników pustyni, że dziś komunikacja odbywa się bez przeszkody i cały przejazd Baghdad — Damaszek trwa zaledwie trzydzieści godzin.

Pięknym jest zwycięstwo maszyny nad pustynią. Lecz wzbudza w nas podziw orientacja szoferów arabskich. Bez map, kompasów, znaków terenowych, szofer prowadzi auto z zadziwiającą pewnością siebie, kierując się więcej wyczuciem, niż znajomością drogi, instynktem, jak rozumem. Wyjeżdżone szlaki automobilowe rozchodzą się, krzyżują, nikną pomiędzy kamieniami lub kępkami trawy, szofer nigdy się nie zawaha.

A jednak mimo tego, że setki aut kursują po pustyni, mimo ścisłej kontroli policyjnej każdej maszyny przed wyjazdem, zdarzają się czasami straszliwe katastrofy, których ofiarą pada życie kilku ludzi. Najniebezpieczniejsze jest zbłądzenie. Na tej kamienistej równinie nic nie wskazuje drogi, ani kierunku. Gdy zabraknie benzyny i auto stanie ludzie mogą liczyć tylko na zmiłowanie Boskie. Wprawdzie, gdy po kilku dniach auto nie wraca, lotnictwo zaczyna poszukiwania, lecz jakże często akcja ta kończy się niepowodzeniem. W jakiś czas potem patrol meharystów w pogoni za rozbójnikami znajduje w pustyni auto i kilka szkieletów. Takie są ślady ponurej tragedii.

Może się wydać dziwnym, lecz większym niebezpieczeństwem od upałów lub burzy piaskowej jest deszcz. Silne kilkudniowe opady zalewają całą pustynię. Woda nie ma gdzie spłynąć tworzy bajora i rozlewiska, zmienia twarde gliniasto - kamieniste podłoże na maź w której auta grzęzną, łamią resory, rozbijają kartery. Wtenczas ustaje w pustyni wszelki ruch. Zarówno wspaniałe ciężarówki o napędzie Dieslowskim, jak i stare o dychawicznych motorach autobusy czekają aż wiatry i słońce osuszą pustynię. Royal Air Force pracuje bez przerwy. Odszukanie i zaopatrzenie w żywność wszystkich aut ugrzęzłych w pustyni nie należy do rzeczy najłatwiejszych. Gdy przyjdą komunikaty meteorologiczne stwierdzające, że szlaki pustynne są rozmiękłe, posterunki graniczne i kontroli policyjnej aut nie wypuszczają w drogę żadnego wozu. Zbyt wiele kłopotu sprawia władzom auto zagrzęzłe, lub zagubione w pustyni.



Fotomontaż przedstawia arch. wschodnią w Arabii

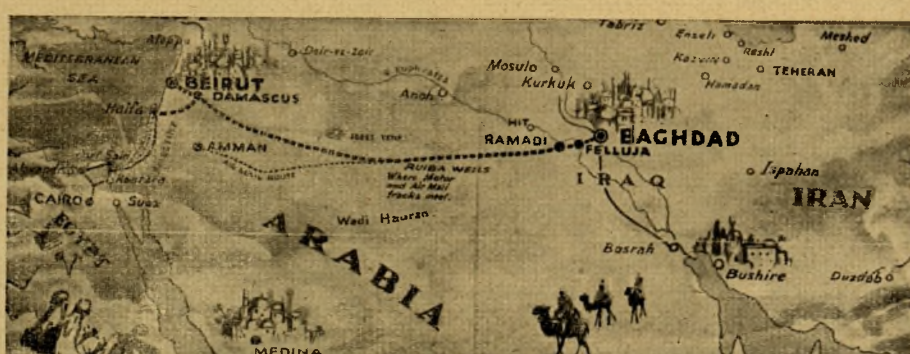
450 km od Baghdadu leży port Rutba. Zwykły czworobok z niewypalonej cegły, otoczonych drutem kolczastym, oto całe umocnienia obronne. Wartość fortu i istotne usługi, jakie oddał komunikacji transpustynnej, polegają na łączności radiowej utrzymywanej z Ramadią, ostatnią kontrolą policyjną. O ile jakie auto nie zamelduje się w czasie przewidzianym, natychmiast są alarmowane odpowiednie władze. W Rutba fort mieści się również hotel i stacja benzynowa.

Jeśli pustynia jest spokojna, to znaczy nie ma powstania, ani żadna banda nie uprawia systematycznego rozboju, załogę Rutby stanowi kilkunastu żołnierzy w europejskich uniformach lecz w arabskich zawojach na głowach.

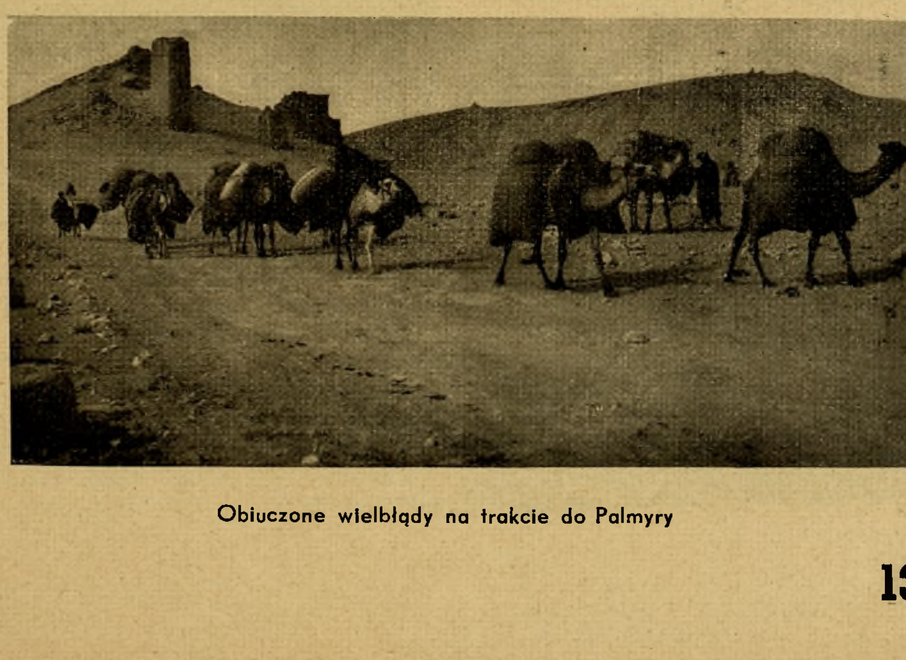
W czasie sporadycznie powtarzających się niepokoi na pustyni przychodzą tu na kwatery znacznie większe oddziały wojskowe.

Tak dzięki technice długa i trudna droga stała się łatwa. Pominąwszy rzadkie wypadki zabłąkania lub rozboju przejazd z Baghdadu do Damaszku nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Wielbłąd — okręt pustyni został zastąpiony przez maszynę, a Arab przewodnik karawan lub rozbójnik, jest dziś szoferem lub mechanikiem.

ST. LUKAS



Mapka przedstawiająca trasę Baghdad — Damaszek



Obiuczone wielbłądy na trakcie do Palmyry



ROPA NAFTOWA I JEJ UBOCZNE PRODUKTY

Ropa naftowa występuje na kuli ziemskiej w bardzo wielu miejscach i na różnych głębokościach. Jest ona najważniejszym produktem, poza węglem i żelazem, potrzebnym w życiu gospodarczym od czasów uprzemysłowienia się krajów, a to od chwili wprowadzenia samochodów i samolotów, które zawdzięczają swoje rozpowszechnienie jedynie benzynie, produktowi ubocznemu nafty, która służy jako materiał popędowy.

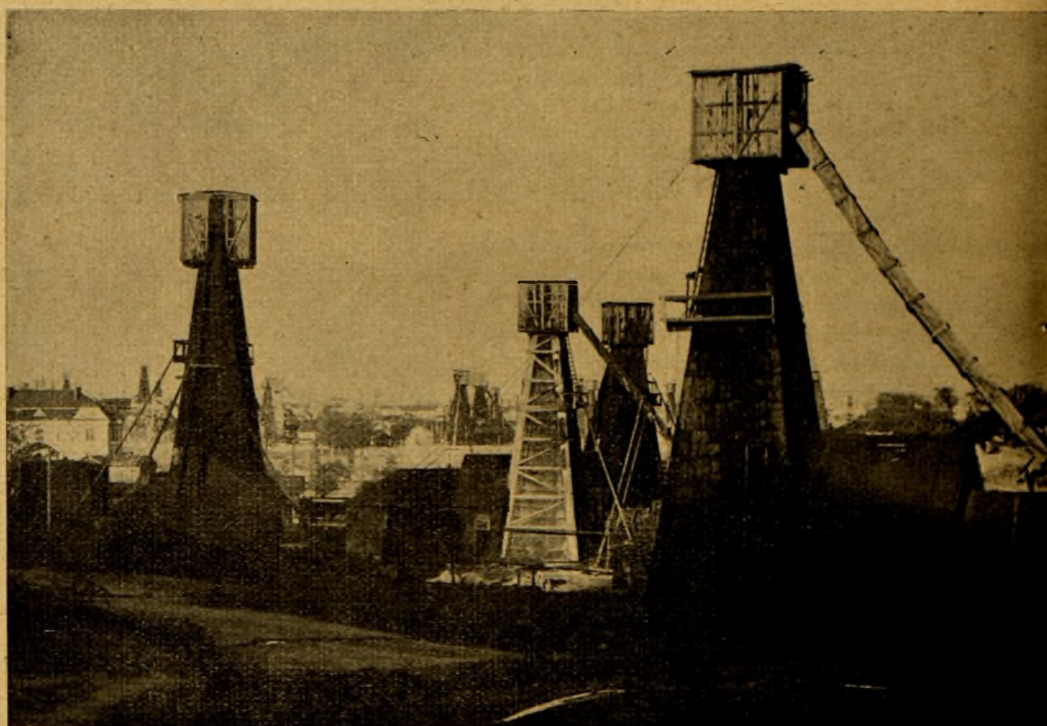
Ropa naftowa jako surowiec jest to ciecz zanieczyszczona występująca na bardzo wielkich głębokościach, półfabrykatem zaś będzie już po części odczyszczona, czyli przerafinowana. Za fabrykat uważamy ropę zupełnie oczyszczoną, a właściwie produkty otrzymane z tejże ropy jakoteż i pozostałości przy przeróbce jak oleje i smary.

Największe tereny naftowe spotykamy w Ameryce Północnej, na Kaukazie (okolice Baku), w Meksyku, w Rumunii, w Polsce w okolicach Tustanowic, Borysławia, Krosna, Limanowej, Drochobycza i innych.

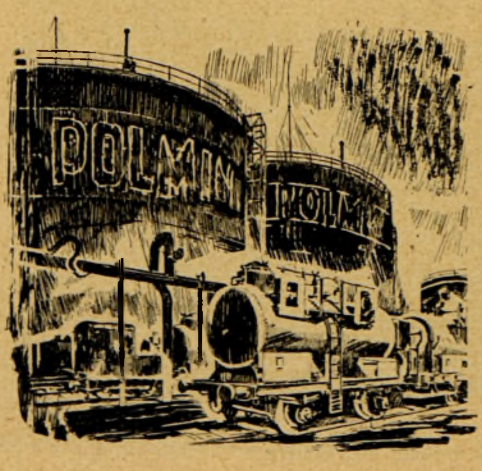
Ropę naftową wydobywa się przeważnie metodą kanadyjską wiertniczą, która polega na przebijaniu warstwy ziemi ciężkim dłutem stalowym opuszczanym z wierzchołka wieży wiertniczej, o wysokości 20 m. Przy przebijaniu ziemi o specjalnie twardej powierzchni używa się dłuta zaopatrzonego w koronę z odmiany czarnych diamentów t. zw. carbonado. Zwiastunem istnienia ropy przy wierceniu jest wydobywanie się gazów ziemnych, poprzedzających wytrysk ropy. Gazy te mają duże zastosowanie zwłaszcza na Podkarpaciu, ponieważ przy spalaniu wydzielają bardzo wielką ilość ciepła.

Tylko dzięki temu, że nafta jako ropa jest przerabiana na szereg innych produktów, wydobywanie jej odgrywa dużą rolę w życiu. Otrzymujemy benzynę, smary, oleje it.p., a przy dalszej przeróbce wielką ilość najróżnorodniejszych związków chemicznych.

Zastosowanie praktyczne ropy było przez długi czas bardzo ograniczone. Używano jej do smarowania osi, następnie jako środek leczniczy, zwłaszcza dla bydła. Z biegiem czasu zaczęto używać ropę w odpowiedni sposób, a to jako materiał opałowy i do oświetlania. Zaznaczyć jednak należy, że do oświetlania lamp nie używano surowca, z powodu jego łatwo zapalności, tylko już półfabrykatu.



Borysław



Sama ropa naftowa jako płyn gęsty, otrzymywany z ziemi sposobem czerpania, lub wiertniczym jest też używana jako poliwo, lub do oświetlania, w obecnych czasach mniej z powodu silnej konkurencji elektryczności.

Nas interesuje przede wszystkim czy i ile posiadamy pokładów naftowych i jakie są różnice w produkcji w porównaniu z innymi państwami.

W Polsce produkcja ropy przedstawiała się następująco: w r. 1884 — 1900 wynosiła przeciętnie 300.000 ton rocznie, w r. 1910 następuje wzrost produkcji o 2.000 ton rocznie. W pierwszych dwóch latach wojny światowej Wschodnia Galicja była terenem walk, wobec czego nastąpił spadek produkcji. W r. 1916 następuje wzrost produkcji, a po wskrzeszeniu Państwa polskiego pokry-

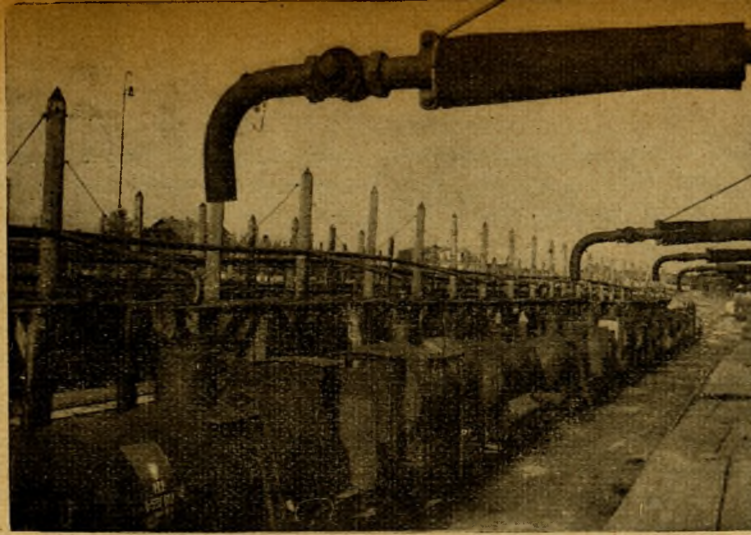
wa ona już nie tylko zapotrzebowanie rynku wewnętrznego, ale jest jednym z najważniejszych artykułów eksportowych. W l. 1920 — 1925 spada produkcja prawie do 300.000 ton rocznie.

Produkcja ropy jak widzimy podlegała znacznym zmianom z różnych przyczyn, a to:

1) z powodu silnej konkurencji ropy kaukaskiej, rumuńskiej i amerykańskiej.

2) zmienności zainteresowania się źródłami ropy w Polsce przez kapitał zagraniczny,

3) wybuchu wojny światowej.



Rozlewnia cystern w Borysławiu

Chcąc podnieść, a nawet utrzymać na jednym poziomie, produkcję ropy, należy budować ciągle nowe szyby, ponieważ dostarczają one ropy przeważnie tylko przez pewien okres czasu. Stawianie szybów jest bardzo ryzykowne, ale trudno się tym zrażać. Przy pomyślnym wyniku osiąga się bardzo wielkie zyski, po nieudałym zaś wierceniu przedsiębiorstwo, o ile nie posiada znacznych kapitałów, upada.

Ropa naftowa jako półfabrykat względnie fabrykat.

Najprostszą przeróbką ropy naftowej jest jej odbenzynowanie i użycie takiego produktu jako materiału opałowego dającego około 50% ciepła więcej, niż dobry węgiel. Odbenzynowanej ropy używało się przed wojną jako opału do opalania lokomotyw, kotłów, opalania mieszkań i t.p. Ropę odbenzynowaną przewozi się w cysternach, albo przeprowadza rurociągami do rafinerii i tam poddaje się dalszej przeróbce, a więc frakcjonowanej destylacji, czyli odparowywaniu w granicach pewnych temperatur. W ten sposób otrzymuje się z ropy pewną ilość produktów o odpowiednim ciężarze właściwym.

Destylację ropy przeprowadza się w kotłach ogrzewanych ogniem od dołu, lub doprowadza się parę gorącą od środka kotłów.

I tak otrzymujemy:

Eter czyli gazolinę, wrzącą między 40 — 60°. Używa się go do wypłukiwania tłuszczów z kości.

Benzynę lekką wrzącą między 60 — 80°, używaną do napędu motorów i wywabiania plam.

Benzynę ciężką, wrzącą między 80—120°.

Ligroinę i olej do czyszczenia, wrzące między 129—150°, służą one do czyszczenia części składowych maszyn.

Otrzymane w ten sposób frakcje oczyszcza się kwasem siarkowym, którego nadmiar usuwa się ługiem, ług zaś wypłukuje się wodą.

Najważniejszym fabrykatem jest czysta nafta 150 — 300°. Jest to płyn bezbarwny lub słabo żółtowy z niebieskawym odcieniem.

Chcąc wprowadzić naftę w handel musimy ją poddać różnym badaniom. I tak badamy ciężar gatunkowy t.zw. areometrem w temperaturze 15°C, barwę, punkt zapłonienia itp.

W handlu rozróżniamy naftę najczystszą i „Standard". Przesyłka nafty odbywa się w naczyniach, które uniemożliwiają jej wyciek lub wyparowanie i które trudno uszkodzić. W handlu międzynarodowym przyjęły się następujące naczynia: cysterny przewozowe, trwałe i dobre beczki, szczelne i silne naczynia metalowe, szklanne lub kamionkowe.

Zastosowanie składników ropy wrzących powyżej 300° bywa różne. Przedewszystkiem używa się je jako smary.

Produkcja ropy.

St. Zj. A. Pół.	105.000.000 ton
Meksyk	15.000.000 „
Rosja	7.000.000 „
Persja	4.000.000 „

Polska stoi na 10-tym miejscu. Produkuje 812.000 ton. Posiada około 40 rafinerii, które wyprodukowały 62.000 ton benzyny i 163.000 ton nafty.

Dużą rolę przy produkcji ropy w Polsce odegrał kapitał zagraniczny, który znalazłszy płytsze pokłady w Czechach i Rumunii wymagające mniejszego nakładu pracy, a co za tym idzie i kapitału, wycofał się tam.

STANISŁAWA KUSZELEWSKA-RAYSKA



— Mamuś, kto telefonował?

— Zosia, Wandzia i Zbyszek po kolei, cała trójka twoich przyjaciół z nart.

— Do Ciebie? A to ładnie! Robisz mi konkurencję. No, ale jesteś pierwszorzędna mama i cała moja paczka strasznie Cię lubi. A czego chcieli?

— Prosili, żebym im opowiedziała o mojej wycieczce na Polesie. Sami Polesia nie znają, a słyszeli, że właśnie wróciłam. Bardzo chętnie im opowiem.

— O której przyjdą? Dziś akurat niedziela.

O, wcale nie dzisiaj! Zaprosiłam ich dopiero za tydzień.

— Zlituj się, mamuś! Dlaczego tak odkładasz?

— Dlatego, że dziś obiecałam ojcu, że wieczorem wyjdę z nim do jego przyjaciół.

— No, to nie mogłaś zaprosić mojej paczki na popołudnie?

— A czy się kiedy zdarzyło, żeby twoja paczka wyszła przed dziesiątą wieczór, jeśli nawet jest proszona wyraźnie na popołudnie.

— Chyba się z nimi nie nudzisz! Cała trójka jest morowa, łby mają nie od parady, pogadać można do rzeczy.

— Zgadzam się. Twoje koleżanki, koledzy są mili, inteligentni, ale niestety — źle wychowani. Nie uznają, że ktoś może mieć własne zajęcia, własne zobowiązania, własny rozkład dnia. Nie szanują cudzych praw, ani cudzego czasu. Wogóle — nie dostrzegają nikogo, prócz siebie.

— Myślałam, że to jest dla matki cenna rzecz, jeśli garną się do niej przyjaciele córki. To się rzadko zdarza. A ty...

— A ja cenię to sobie więcej jeszcze, niż przypuszczasz. I doskonale się między nimi czuję. Niestety jednak, mogę mieć dla nich 2—3 godziny czasu za każdym razem, ale nie 6—8 godzin.

— O, już na etykietalne wizyty to ich nie przekabacisz! Siedzą, bo się u nas dobrze czują. Widziałaś kawał świata, byczo opowiadasz...

— A jednak opowiadań moich nie będą słuchali częściej, niż co dwa, trzy miesiące, dla tej prostej przyczyny, że nie umieją w porę wyjść. Zapłacą w ten sposób za swój brak towarzyskiej ogłady.

— Jest! „Towarzyskiej ogłady"! Koszmar mego życia! W rezultacie wszystkie matki są jednakowe. Nawet taka przyzwoita matka jak Ty. Nie potrafiłaś wyrosnąć ponad te głupstwa. Cała ta „ogłada towarzyska" to granda, lipa i nawalanka!

— Zapomniałaś dodać: „puc".

— Słusznie. Granda, lipa, puc i nawalanka. Teraz masz mój pełny pogląd na tę sprawę.

— To może pozwolisz, że teraz ja ci powiem m ó j pełny pogląd na tę sprawę — chcesz?

— Chcę. Chociaż wiem, co usłyszę! ogłada towarzyska wymaga, żeby gość, proszony na popołudnie nie został na cały wieczór, choćby się rozmowa najlepiej kleiła...

— A czy gość może być pewien, że gospodarz nie wybiera się do teatru?...

— Czekaj! Żeby bez zaproszenia nie dobierać leguminy, choćby była najsmaczniejsza...

— A może nie zostało dla służącej? A może...

— Czekaj! Żeby w święta Bożego Narodzenia przynajmniej dwie godziny zmarnować u Babci, w dodatku jeszcze włożywszy niewiadomo poco niewygodną świąteczną sukienkę, zamiast swetra.

— Tak. Bezwarunkowo. I jeszcze gorzej, grubo gorzej: wysłać parę słów na imieniny do każdej z czterech ciotek.

— Granda! Nonsens! Strata czasu! Grzech marnotrawstwa! Mamo, wiesz, jak się liczę ze wszystkim, co mówisz, ale...

— Wiem. Starałam się o to przez 16 lat twego życia.

— ...ale tego, co mówisz teraz — nie mogę słuchać! Poprostu nie mogę. To mi Ciebie psuje! Przeglądałam kiedyś u dentysty książeczkę: „Przepisy dobrego wychowania". Okazuje się, że narzeczony powinien posyłać narzeczonej co tydzień bukiet białych róż... uważasz: co tydzień! I uważasz: Białych! na pierwszą wizytę gentelman wkłada spodnie w paski i długi krawat. Że młoda mężatka składa wizyty w czarnej sukni. I... i... no i wogóle że się „s k ł a d a w i z y t y". Zupełnie obojętnym ludziom i koniecznie z uśmiechem i tylko po piętnaście minut! Co za fałsz! Jakie zakłamanie!

— Zgadzam się z przedmówcą. Większość wizyt to niepotrzebna tortura. Albo dla próżnujących ludzi — zapchanie czasu.

— Widzisz! A sama wysyłasz mnie do Babci!

— O, to najzupełniej inna sprawa.

— Dla mnie ta sama! Tortura i już. Takich tortur i nonsensów było w tej książeczce znacznie więcej. Im dalej, tym płyciej, tym gorzej, tym niedorzeczniej! Gdzie w tych zwyczajach człowiek, Człowiek? Gdzie sens obcowania człowieka z człowiekiem?! Ani pół minuty dla obojętnych, dwanaście godzin z rzędu dla przyjaciół — to rozumiem!

— Zrozumiesz jeszcze coś więcej.

— Nie chcę! Nie zgadzam się! Ty, moja bycza, fajna, najmorowsza mama, dobry towarzysz, ostatecznie nawet nie najgorszy sportsmen...

— Aaaa...

— No, ja na twoje lata... Jednym słowem Ty, przyzwoita mama, probujesz mnie nawracać na „etykietę"! To już nie granda, lipa i nawalanka — to katastrofa!

— Wcale nie na etykietę. Na p r a w d z i w e dobre wychowanie.

— To na jedno wychodzi.

— C z a s e m wychodzi na jedno. Ale z a w s z e co innego znaczy.

— Nie, nie dogadamy się, mamuś.

— Dogadamy się za pięć minut. Właśnie dlatego, że umiesz się tak szczerze, przejmować. Znaczy, że masz serce. A skoro masz serce — dogadamy się.

— Serce! Serce i przepisy towarzyskie! Co ma piernik do wiatraka? Właśnie dobre wychowanie przeczy sercu, bo każe udawać.

— Czasem właśnie s e r c e każe udawać.

— O, nigdy!

— Owszem. Powiedz, czy beznadziejnie choremu człowiekowi trzeba koniecznie powiedzieć: „nie warto się leczyć, zostało ci jeszcze 3 miesiące życia"?

— Broń Boże.

— Widzisz. A dlaczego?

— Żeby go nie dręczyć.

— Inaczej mówiąc: udajemy, z rozkazu serca, czy tak?

— W tym wypadku, tak. Ale to zupełnie inny temat, niż wizyty u Babci i pocztówki do ciotek. To tragedia — tamto głupstwa.

— Temat jest ten sam, tylko oświetlony umyślnie w sposób najjaskrawszy. Powoli, stopniowo jeżeli będziemy szły tą samą drogą, poprzez przykłady coraz mniej poważne, dojdziemy do... powinszowań, a nawet do bukietów.

— Granda! Lipa!

— Nie. Daj już spokój! Teraz mów poważnie.

— Dobrze mamuś, kochanie.

— Powiedz, czy musisz koniecznie oznajmić twojej koleżance, Stefci, że jest bardzo brzydka? Beznadziejnie, nieszczęśliwie brzydka?

— Za nic w świecie! Nawet będę ją zapewniała, że może się podobać, skoro mnie się podoba. Poco ją martwić?

— Właśnie. A czy nie robisz tego przypadkiem z rozkazu serca?

— No... właściwie tak.

— Dziękuję. Teraz już możemy jednym susem przeskoczyć do sprawy wizyt i powinszowań.

— Protestuję! To całkiem inna para kaloszy!

— Ta samiuteńka. Więc: czy musisz koniecznie okazać samotnej, chorej staruszce, że ona Ci jest do szczęścia najzupełniej nie potrzebna? A jeśli Tobie... to może — nikomu??

— Hm...

— Ni — ko — mu. Czy możesz zrozumieć to straszne słowo? Ty, oczko w głowie całej rodziny i właśnie tejże Babci? Nie możesz zrozumieć. Ale sprobuj.

— Sprobuję.

— Widzisz. Zaczynamy się dogadywać. I przez co? Przez serce. Dla ciebie odwiedziny u Babci to strata dwuch godzin młodości — naturalnie. Ale dla niej Twój widok — to jedyna radość starości. No tak?

— Noo — tak.

— Więcej ci powiem. Jeśli uznasz taką wizytę za rozkaz serca, to odrazu przestaniesz udawać. Pójdziesz do Babci s z c z e r z e. No tak?

— Nno — tak. A... a dlaczego w święto? Dlaczego nie w codziennej sukni?

— To już właściwie drobiazg, subtelność, nie istota rzeczy. Ale mnie więcej dlatego, żeby Babcię... jakby to powiedzieć... lepiej uhonorować. Okazać, że nie żałujesz dla niej świątecznego dnia, że postarałaś się dla niej jak najładniej wyglądać. Coś w tym rodzaju.

— Takie... „serce z dokładką" jednym słowem.

— Otóż to. Widzisz, jak daleko odeszłyśmy już od kategorii „pucu i nawalanki". A teraz ciotki. Ciocia Zosia pielęgnowała cię w chorobie, kiedy miałaś dwa latka. Ciocia Wanda wybawiła kiedyś ojca — a więc i ciebie — z dużych kłopotów pieniężnych. Ciocia Hela straciła własną córkę i jest bardzo nieszczęśliwa. A ciocia Mania jest teraz w wyjątkowo trudnej sytuacji życiowej. Jak uważasz? O której z nich wolno zapomnieć w dzień jej imienin?

— O żadnej.

— O żadnej. A z czyjego rozkazu? Serca czy etykiety?

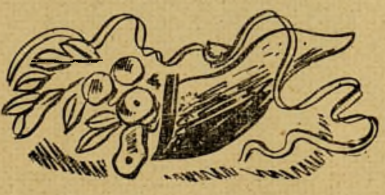
— Ty mnie zawsze przegadasz, matka.

— Nie, kocie. Tylko wtedy, kiedy mam rację.

— Ale przepraszam! Może się przecież komuś zdarzyć taka ciotka, której się niczego nie zawdzięcza, która nie jest ani nieszczęśliwa, ani samotna, ani uboga.

— Ma się rozumieć. Ale taka ciotka może również pragnąć od ciebie dowodu serca. Jeżeli jednak pewna jesteś, że go nie pragnie — nie pisz do niej.

Prócz tego: nie pisz nigdy, jeśli właśnie ty jesteś „pod wozem", a ona „na wozie". Albo twoje powinszowanie może wyglądać na przypomnienie o Twoich imieninach. I nie odwiedzaj Babci, która cię nie kocha i nie potrzebuje. Albo która jest bogata, jeśli ty jesteś uboga. A odrzuć wszystkie nakazy interesu, a przyjmij wszystkie nakazy serca. I właśnie w ten sposób, a nie w innym podziel sobie przepisy dobrego wychowania na złe i dobre, słuszne i niesłuszne. Twoja książeczka o etykiecie dlatego dzisiaj wydaje się głupia, że z tych form wywietrzała już treść. Dzisiaj bukiety nie wydają nam się konieczne jako symbol hojności, ani czarne ubranie wizytowe jako symbol szacunku, chociaż kwiaty i stroje posiadają nadal bogatą symbolikę i pozostały jednym ze sposobów wyrażania uczuć. Dziś pragniemy żyć bez zawiłego ceremoniału, ale nie możemy odrzucić tych form, na dnie których, gdzieś głęboko, u samych korzeni leży serce, delikatność uczuć, szacunek dla spraw i praw drugiego człowieka. Wszystko, co robi komuś przykrość tym samym sprzeciwia się dobremu wychowaniu...



— Ale nie etykiecie!

— Nie, nie etykiecie, tylko prawdziwemu dobremu wychowaniu. Dlatego, że sprzeciwia się nakazowi serca. Protestujesz?

— Nie.

— No, to ja zato zgadzam się, że wszystkie przepisy towarzyskie, na których dnie nie leży nakaz serca, to „granda, lipa i nawalanka".

Dogadałyśmy się, kocie?

— Aha! Jesteś po dawnemu: pierwrzorzędna mama!

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

Manewry na Zachodzie.

W Europie zachodniej odbywają się w tej chwili niebylejakie manewry. Wprawdzie nie wojskowe, niemniej jednak równie często stające o krok od działań zbrojnych — manewry dyplomatyczne. Wojna hiszpańska kończy się. Po stronie „czerwonych" coraz częstsze są głosy za porozumieniem stron, aby nie przedłużać beznadziejnej już bratobójczej walki. Hiszpania pragnie pokoju za wszelką cenę, a dla osiągnięcia tego celu obie strony gotowe są zdaje się pójść na duże ustępstwa.

Sądząc z dotychczasowych obserwacyj i przebiegu wypadków, należałoby się spodziewać, że w dziedzinie polityki zagranicznej nowa Hiszpania znajdzie się pod silnym wpływem Niemiec, a przede wszystkim zaś Włoch. Wpływ ten w chwili obecnej wyraża się naocznie ilością wojsk włoskich w Hiszpanii, których Mussolinii bynajmniej nie ma zamiaru szybko wycofać, przeciwnie zaś — będzie się starał prawdopodobnie utrzymać je tam do czasu uporządkowania stosunków wewnętrzno - politycznych Hiszpanii, oczywiście po swojej myśli. Jednocześnie jednak Francja i Anglia, które dotychczas dawały moralne poparcie stronie rządowej, zmuszone zostały do szukania dróg dostępu do gen. Franco, obawiając się, że zraziwszy go sobie dotychczasowym wobec niego postępowaniem, mogą z chwilą jego zwycięstwa stracić jakikolwiek wpływy w Hiszpanii. Byłoby to tym groźniejsze, że stałaby się ona wówczas bez ograniczeń domeną wpływów włosko-niemieckich, z którymi zachodnie demokracje walczą. Pierwszym etapem zbliżenia tych ostatnich do gen. Franco ma być spodziewane w najbliższym czasie formalne uznanie rządu gen. Franco za prawowitą władzę Hiszpanii.

Przebieg dyplomatycznych manewrów na zachodzie, których głównym ośrodkiem jest ciągle jeszcze Hiszpania, zależny jest oczywiście od bardzo wielu różnych okoliczności, wchodzących głównie w orbitę stosunków włosko - francuskich. Czynnikiem jednak, który odegra w nich poważną rolę, będzie zapewne nowy układ sił politycznych, jaki utworzy się w Hiszpanii z chwilą zakończenia działań wojennych. Układ ten trudno jest teraz przewidywać. Ostatnio coraz częstsze są pogłoski, jakoby nowy ustrój Hiszpański miał być monarchicznym, z rządami dawnej dynastii, przy czym gen. Franco miałby zrezygnować z stanowiska szefa rządu. Z punktu widzenia stosunków zewnętrznych Hiszpanii wyjście takie byłoby zapewne jednym z najlepszych. Nie wdając się jednak w bliższą jego ocenę, należy stwierdzić, że projekt ten jest jednym z wielu wyrazów nieuniknionej dążności do stworzenia jedynie obecnie możliwego ustroju, opartego na kompromisie między lewicą a prawicą hiszpańską. Konieczność wprowadzenia takiego ustroju zwiększa oczywiście szanse Francji i Anglii kosztem ograniczenia wpływów państw „osi".

Wizyta min. Ciano.

25 b.m. przyjeżdża do Warszawy z oficjalną wizytą włoski minister spraw zagranicznych, dr. Ciano. Min. Ciano zaba-

wi w stolicy Polski kilka dni, w czasie których odbędzie szereg rozmów z naszymi mężami stanu, przede wszystkim zaś z min. Beckiem. Celem wizyty włoskiej jest wymiana poglądów przedstawicieli obu państw na najaktualniejsze zagadnienia europejskie, zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio nas dotyczące, oraz ustalenie zasad współpracy międzynarodowej polsko - włoskiej, którą umożliwia istnienie szeregu wspólnych obu narodom interesów.



Hr. Ciano Minister Spraw Zagranicznych Włoch

Daleki Wschód.

Sytuacja na Dalekim Wschodzie uległa w ostatnim czasie ponownemu zaostrzeniu, i to niemal jednocześnie w Chinach południowych i na pograniczu sowiecko - japońskim.

W pierwszej połowie b.m. wojska japońskie zajęły wyspę Hainan, leżącą o południowych w wybrzeży chińskich mniej więcej na linii angielskiego Hongkongu, od którego jest od



Ludność cywilna Hiszpanii pod opieką rządu francuskiego

dalona o 400 km. Jednocześnie Hainan znajduje się w odległości zaledwie 250 km. od Hanoi, stolicy Tonkinu, najcenniejszej prowincji francuskiej Indochin. W ten sposób Japończycy, urządzając na niej swą bazę morską, posiadaliby w zasięgu swych samolotów wojskowych nie tylko Indochiny francuskie, perłę francuskich kolonij i gwarancję jej potęgi na Wschodzie, ale również angielski Singapoore, i stolicę Filipin Manillę. W ten sposób zagrożone zostały również interesy Stanów Zjednoczonych. Wszystkie te trzy państwa, mając i tak napięte stosunki z Japonią, widząc się bezpośrednio zagrożonymi, reagowały natychmiast wysłaniem na wody chińskie swych okrętów wojennych i złożeniem w Tokio protestów dyplomatycznych. Ze strony Japonii zapewniono je, że zajęcie wyspy Hainan było jedynie manewrem strategicznym i bynajmniej nie ma charakteru stałej okupacji, czego się właśnie obawiano. Niemniej należy przypuszczać, że sprawa ta wywołałaby zapewne silniejsze zadrażnienia, gdyby nie fakt zagrożenia interesów francusko - angielskich w Europie, co zmusza te państwa do koncetracji wysiłków dyplomatycznych i militarnych nad Atlantykiem.

Trzy zmiany rządów.

Ostatnio byliśmy świadkami nieoczekiwanych zmian rządów w trzech państwach, a mianowicie w Belgii, Jugosławi i na Węgrzech. W pierwszych dwóch wypadkach przyczyną dymisji Spaaka (Belgia) i Stojadinowicza (Jugosławia) były tarcia, istniejące w tych państwach na tle współżycia w nich różnych narodowości: Wallonów i Flamandów w Belgii (wśród Flamandów istnieje ruch separatystyczny), Serbów zaś, Chorwatów i Słowaków w Jugosławii. Na Węgrzech natomiast miał miejsce wypadek nie tylko oryginalny, ale wprost groteskowy: rząd podał się do dymisji, ponieważ babka premiera okazała się Żydówką. Fakt ten jest tylko dowodem, że zaślepienie pustego antysemityzmu trafia nawet do umysłów wysoko pod każdym względem stojących, usuwając interes państwowy i narodowy w cień, ażeby uczynić zadość czyjemuś „widzi - mi - się".

20 lecie Sejmu Rzeczypospolitej.

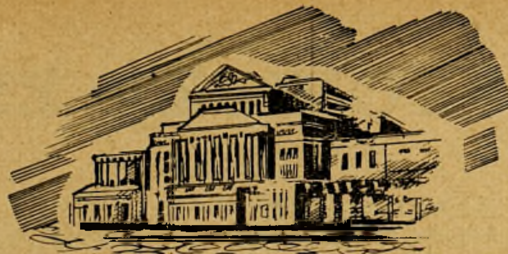
W dniu 10 lutego br., jako w dwudziestą rocznicę otwarcia przez Józefa Piłsudskiego Ustawodawczego Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, odbyło się uroczyste plenarne posiedzenie Sejmu. W posiedzeniu tym uczestniczyli P. Prezydent Rzeczypospolitej I. Mościcki i P. Marszałek E. Śmigły - Rydz.

Wspominając ciężkie czasy pierwszego Sejmu, Sejm obecny przez usta swego Marszałka oświadczył wobec P. Prezydenta, Naczelnego Wodza i Narodu całego, „że wielkość swego obowiązku rozumie i uczyni wszystko, aby mu sprostać".

Tenże sam Sejm uczcił pamięć świeżo zmarłego papieża Piusa XI.



Odpoczynek grupy zwycięskich wojsk rządu narodowego



TEATR

„OBRONA KSANTYPY"

Komendia w 3 aktach L. H. Morstina.

TEATR POLSKI

Historia, a właściwie plotka historyczna, często określa jednostki jako ludzi z gruntu złych, lub dobrych, opierając się przeważnie na pozorach, a nie dochodząc do sedna rzeczy. Tak z imienia żony greckiego filozofa zrobiono synonim kobiety swarliwej, przewrotnej i złośliwej, jednym słowem, synonim złej żony.

Oparta na plotce, powstała legenda o potworze, którego ofiarą był Sokrates. Ale czy tak było w rzeczywistości? czy Sokrates czuły jak nikt inny na piękno i doskonałość ducha, wybrałby żonę - sekutnicę?

Na to pytanie odpowiada nowa sztuka Morstina pt. „Obrona Ksantypy".

Autor przez trzy akty przeprowadza konsekwentnie obronę, nie uwalniając Ksantypy od przypisywanych jej wad, ale starając się znaleźć ich powody. Przedstawia ją jako choleryczkę, histeryczkę o kłótliwym i despotycznym usposobieniu, ale jednocześnie podaje przyczyny tego. Bo nie ma histerii bez powodu.

Ksantypa jest żoną starego i brzydkiego, ale najmądrzejszego człowieka. W cieniu jego wielkości chowa się zajęta szarzyzną codziennej pracy. Wszystko byłoby dobrze, bo wszak takim jest przeznaczenie kobiety. Lecz Ksantypa czuje się predystynowaną do innego, lepszego życia. Tęskni za zapachem narcyzów i tymianku na wzgórzach Akropolis, za haszyszem upojnych słów miłosnych, za pięknymi, nieznanymi krajami. A zamiast tego ma wzniosłą filozofię męża, dziurawe garnki, nieznośny skrzyp żarna i leniwych niewolników.

Sokrates, ten najmądrzejszy z ludzi, co sławi i uczy poznawać piękno, nie może poznać pragnień własnej żony, pewny, że to co ma powinno jej wystarczyć.

Ksantypa jest zawiedziona. To jest jej główną obroną. I kiedy mówi że: „... nie ma kobiet złych, ani dobrych, są tylko szczęśliwe i zawiedzione...", jesteśmy skorzy uniewinnić ją, a nawet co więcej, uczynić z niej ofiarę Sokratesa, ściśle mówiąc: jego wielkości. Ksantypa czuje dystans jaki ją dzieli od męża i uważa go za krzyczącą niesprawiedliwość, za sprawcę swych rozszarowań i cierpień. A jednak mimo to jest dumna z tej sławy i wielkości. Kocha i nienawidzi zarazem. Bo „dziwną i nieodgadnioną jest dusza kobiety.."

Kiedy „opanowana szałem boga Erosa" i czułymi słówkami zakochanego w niej Harmidesa decyduje się przekreślić wszystko i odejść na zawsze ku nowemu życiu, spostrzega zapomniany przez Sokratesa płaszcz. I to wystarczy, aby troska o to czy się nie przeziębi, przysłoniła plany ucieczki z Harmidesem, a obudziła przeświadczenie, że jest Sokratesowi potrzebna, że bez niej nie da sobie rady.

Ten zostawiony płaszcz obudzi w niej nagły sentyment do dawnego życia, dziurawych garnków, nieznośnego skrzypu żarna i podartego hitonu. Ta scena jest doskonała w psychologicznym i dramatycznym ujęciu.

Ta sama Ksantypa decyduje się na skandal i zrobienie awantury zaniedbującemu dom Sokratesowi. Ukryta za filarem podsłuchuje rozmowę męża z przyjaciółmi i porwana czarem jego słów znowu zapomina o wszystkiem co miała zrobić, czuje tylko bezgraniczne uwielbienie i swoją winę wobec mędrca, który już nie do niej, ale do wszystkich należy.

— „...Dziwną zaiste jest dusza kobiety..."

Jako całość ta komedia obyczajowa robi bardzo dobre wrażenie. Jedynie budowa niektórych postaci i akcji budzi pewne zastrzeżenia. Przede dewszystkim autor ze zbyt wielką licencją potraktował Sokratesa, przedstawiając go jako żywego niedorajdę. Mało wykorzystano jego filozofię, dając zamiast tego jej parodię, oszukańczą sofistykę Tyreusza.

Tło historyczne, a więc świat antyczny i to nie byle jaki, bo Ateny Peryklesa, wypadło całkiem zadawalająco.

Autor zręcznie wplótł aktualne historyjki o Archoncie, co każe malować frontony domów i o sławnym ateńskim śpiewaku, który z chwilą gdy przestanie śpiewać mówi bzdury bez sensu. Historia się powtarza!

Wykonawczynią tytułowej roli była p. Maria Modzelewska. Ksantypa w tej interpretacji była wprost doskonale naturalna. Sokratesa zagrał p. Woszczerowicz, szczególnie dobry w mimicznej scenie aktu I-szego.

Z pozostałych p. Wilamowski (Harmides) sympatyczny i piękny Pichelski (Agaton) i przezabawny Kondrat (Tyreusz).

Warszawa
Gimn. Świeżyńskiej-Słojewskiej
Stefan Kalicki.



Modzelewska (Ksantypa) i Woszczerowicz (Sokrates)

JANUSZ MEISSNER

KOŚCIUSZKOWSKA ESKADRA

(Dokończenie)

Gdy zaczął się odwrót spod Kijowa, 7-ma eskadra niejednokrotnie opuszczała lotnisko, jako ostatni oddział polskiego wojska, ostrzeliwana z ziemi przez nacierającą kawalerię Budiennego.

Dowódca 13-ej dywizji piechoty, na którego odcinku wówczas eskadra się znajdowała, tak o niej pisze do dodwódcy frontu:

„Gen. Listowski, D-ca Frontu Południowego.

Amerykańscy lotnicy pomimo wycieńczenia walczą jak opętani. Służbę wywiadowczą pełnią świetnie. Ostatnio, podczas ataku, ich dowódca zaatakował nieprzyjaciela od tyłu i ogniem z karabinów maszynowych prażył we łby bolszewików. Bez pomocy amerykańskich lotników dawno by nas diabli wzięli.

(—) Pachucki
D-ca 13 Dywizji Piechoty"

A oto wyjątek z rozkazu Szefa Sztabu Generalnego z lipca 1920 r.:

„...Nadzwyczajne walki i czyny lotnictwa VI Armii są owocem wielkich zdolności organizacyjnych i niespożytej energii mjr. Faunt - le - Roy, dzięki jego idealnemu i entuzjastycznemu poświęceniu się za sprawę Polski w wypełnianiu obowiązków powierzanych mu jako d-cy lotnictwa VI Armii. Podziękowanie należy się również dowódcom, personelowi latającemu i pomocniczemu eskadr 5-ej, 6-ej, 7-ej Kościuszkowskiej i 15-ej, bo przy złączonych wysiłkach ich wszystkich byli w stanie zadania swe wykonać.

Wszystkich lotników, którzy wykazali nadzwyczajną odwagę w ostatnich walkach, polecam przedstawić do odznaczenia bez zwłoki.

(—)Rozwadowski
Gen. - Por., Szef Sztabu

Tymczasem eskadra biła się dalej. Zmieniwszy trzynaście lotnisk frontowych, wykonawszy 462 loty bojowe w czasie 682 godzin, okryła się sławą takich czynów, jak uratowanie transportów kolejowych 19 pułku piechoty pod Koziatynem; ostrzeżenie polskiego sztabu w Żytomierzu o zagrażającym mu zagonie kawaleryjskim, który omal nie zagarnął całego dowództwa frontu do niewoli; wielokrotne udaremnienie szarż kawaleryjskich nieprzyjaciela na nasze słabsze liczebnie wojska i wreszcie brawurowy pościg za zdemoralizowaną bolszewicką jazdą Budiennego z pod Lwowa w końcu sierpnia 1920 roku.

Te tryumfy okupione zostały wielkimi ofiarami. Zginęli Amerykanie: por. Graves, pkt. Kelly i kpt. Mc Callum, oraz Polacy: kpt. Bastyr i mjr. Stec. Ranni zostali Amerykanie: por. Noble, por. Chess, por. Rorrison i Polacy: ppor. Seńkowski, por. Weber, por. Konopka. Dostali się do niewoli (z której następnie zbiegli): kpt. Cooper i ppor. Ciecierski. Uszli niewoli bolszewickiej zestrzeleni przez nieprzyjaciela: por. Rorrison, kpt. Corsi, kpt. Crawford (dwukrotnie), kpt. Cooper (dwukrotnie) i por. Skarżyński.

Szczególnie ciężki dla eskadry był dzień 26 lipca 1920 roku. Kawaleria Budiennego ustawicznie prześladowana przez amerykańskich lotników chwyciła się tego dnia podstępu, którego nikt się nie spodziewał. Oto wiedząc, że samoloty eskadry pojawiają się kilkakroć w ciągu dnia nad rejonem Łuck — Dubno — Równe, bolszewicy wyznaczyli na drogach specjalne dyżury małych oddziałów konnych, których zadaniem było wznoszenie wielkich tumanów kurzu dla zwabienia lotników. W ukryciu obok szos przygotowano jednocześnie baterie karabinów maszynowych, które bardzo skutecznie raziły nisko przelatującą eskadrę.

Podstęp udał się. Kpt. Cooper i Ciecierski musieli lądować wskutek uszkodzeń silników i dostali się do niewoli. Kpt. Kelly padł przeszyty kulami w czasie ataku nad drogą Łuck — Klewań. Major Faunt - le - Roy szczęśliwie dociągnął do własnych linii na samolocie z przestrzelonym zbiornikiem benzyny. Kpt. Crawfordowi śmierć zajrzała w oczy, gdy również z przestrzelonym zbiornikiem wylądował w pobliżu oddziału kozaków. Uratował go jednak kpt. Corsi, który w porę spostrzegł grożące niebezpieczeństwo i bez namysłu zaatakował szarżujących, przelatując przed ich rozwiniętym frontem i zasypując ich gradem kul. Szarża załamała się kilkakrotnie, bo oszalałe ze strachu konie stawały na zadach i porywały kozaków w tył. Trwało to kilka minut, w ciągu których Crawford zdołał przełączyć dopływ benzyny ze zbiornika zapasowego i wystartować w chwili, kiedy już wataha bolszewicka miała go dopaść.

Zawieszenie broni zastało Kościuszkowską Eskadrę we Lwowie, wkrótce zaś potem lotnicy amerykańscy zostali zdemobilizowani i powrócili do swej ojczyzny. Zanim jednak odjechali, raz jeszcze Faunt - le - Roy zameldował się wraz z nimi u Naczelnego Wodza na Jego wezwanie.

Piłsudski pożegnał ich ze wzruszeniem, choć krótko, jak zwykle — po żołniersku:

— Cześć wam amerykańscy piloci — powiedział.

I tymi słowy zamyka się następna karta historii eskadry.

Na cmentarzu Obrońców Lwowa, tuż przy arkadach zbudowanych u stóp kaplicy, która stoi na wzgórzu, wznosi się pomnik poległych za Polskę lotników amerykańskich. Szara ściana piaskowca i taka sa-

ma szara płyta przykrywająca grobowiec stanowią tło dla skrzydlatej postaci lotnika, który spogląda w polskie niebo.

Co rok, wieczorem w dzień zaduszny odbywa się na cmentarzu w obecności kompanii honorowej apel poległych. I wówczas między nazwiskami Polaków padają trzy nazwiska Amerykanów:

— Georges Graves!

— Arthur Kelly!

— Mc Kallum!

— Zginęli śmiercią lotników na polu chwały — odpowiada szef kompanii.

Na krawędziach szarej płyty zapalają się żółte płomyki świec. Ich drgający blask pada na wysmukłą, kutą w kamieniu postać, która zdaje się ożywać w tym oświetleniu.

Wtem pośród ciszy zapadłej po odbytym apelu grzmią twarde słowa komendy i kompania prezentuje broń, a trąby wojskowej orkiestry rzucają w ciemne niebo nieśmiertelną melodię:

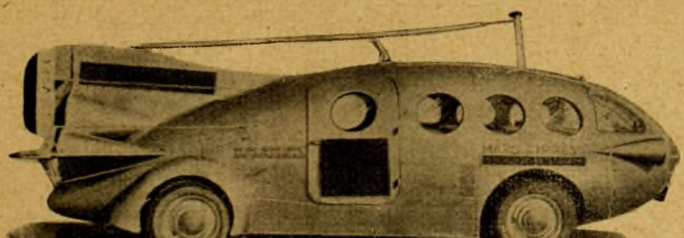
— Jeszcze Polska nie zginęła!

CIEKAWOSTKI

W POGONI ZA SZYBKOŚCIĄ.

Piotr Vacca z Buffalo zbudował kosztem 85 tys. zł. samochód o napędzie benzynowo-rakietowym Aerodynamiczność linii jest posunięta do tego stopnia, że bolid ma stery powietrzne podobne do samolotowych 8-io cylindrowy motor z kompressorem byłby w stanie „wyciągnąć“, aż 185 km/godz., gdyby nie pomoc wybuchających rakiet, umieszczonych z tyłu wozu.

Popular science: Febr. 1939.



NOWA SENSACJA FOTOGRAFICZNA — ZDJĘCIA ZAPACHU KWIATÓW.

Prof. Henri Deraux wynalazł metodę, pozwalającą sfotografować zapach róży, bzu lub innego kwiatu. Nalał on do miseczki rtęci, którą posypał z wierzchu talkiem, miseczkę zaś przykrył szybką szklanną z przylepionym do niej kwiatem. Zapach z kwiatu emanował w kierunku powierzchni rtęci i po kilku minutach utworzył na niej jakgdyby kropelki. Każdy pachnący kwiat w inny sposób gromadzi kropelki rtęci tak, że można poznać po fotografii z jaką rośliną mamy do czynienia kwiaty bez zapachu nie wpływają na tworzenie się obrazu na powierzchni rtęci.

Popular sciencie: Febr. 1939.

MECZ FOOTBALOWY WIDZIANY OKIEM PIŁKI.

Wytwórnia filmowa R. K. O. - Radio wpadła na pomysł umieszczenia kamery do zdjęć w piłce, służącej do gry w football i bassball. Piłkę wykonano z balsy, bardzo lekkicgo drzewa, w ten sposób, by do środka można włożyć aparat filmowy. Obiektyw tej, nagrywającej na taśmie 16-ki, kamery wystaje na zewnątrz przez specjalne okienko. Ukryty guziczek wprawia motorek aparatu w ruch, lub też zmienia szybkość robienia zdjęć.

Popular Mecanies: Dec. 1938.

PRZENOŚNA KAZALNICA.

Porucznik Armii Zbawienia p. James Burnet z New-Yorku zbudował przenośną kazalnicę. Pulpit zmontowany na ogumionych kołach, a zawierający akumulatory, wzmacniacz, głośnik i mikrofon waży zaledwie sto kilogramów. W szufladach mieści się podręczna bibljoteczka książek religijnych, gramofon z adepterem, oraz komplet płyt z nagraniami pobożnych pieśni. Kazalnica taka jest niezastąpiona przy przemowach do dużego tłumu zgromadzonego na świeżym powietrzu.

Popular science: Febr. 1939.



Zapach kwiatów



KORESPONDENCJE

ŁOWICZ

(Państwowe Liceum Pedagogiczne).

W dniu 22 stycznia, jako w rocznicę powstania 1863-ego roku, odbyła się w naszym Liceum skromna uroczystość.

O godzinie 20-ej wieczorem zebraliśmy się w hollu, gdzie o powstaniu i jego znaczeniu opowiedział nam w kilku zdaniach p. profesor J. Dutkiewicz. Następnie w skupieniu, odpowiadającym nastrojowi chwili przemaszerowaliśmy ulicami, za miasto na mogiłę powstańców 63-ego roku.

Tutaj jeden z kolegów wśród głuchej ciszy i otaczających nas ciemności odezwał się salutując grób. donośnym głosem: „... Z trudu Waszego i bólu Polska powstała by żyć!..." Po chwili milczenia, którą uczciliśmy pamięć bohaterskich dziadów naszych, nie mogących pogodzić się z gniotącym ich jarzmem niewoli i w chwili tragicznej rozpaczy chwytających za broń, aby wywalczyć Polsce wolność i niepodległość — wróciliśmy do Liceum śpiewając żołnierskie piosenki.

Uroczystość ta, tak bardzo prosta, bez żadnych napuszonych mów i deklamacji, zostawiła nam na zawsze niezatarte wspomnienie, była bowiem inna niż wszystkie dotychczasowe — była niezwykła.

Tadeusz R. Boniecki

TARNOPOL

(Gimn. i Lic. im. J. Słowackiego).

Na terenie naszego Gimnazjum i Liceum praca wszystkich kół i organizacyj nie ustaje.

Dnia 11.II.39 r. odbyło się zebranie członków „Kółka Przyrodniczego", na którym kol. J. T. wygłosił referat pt. „Owadożerność w świecie roślinnym". Oprócz tego wyświetlono film o rozwoju roślin.

Dnia 10.II.39 r. z okazji rocznicy zaślubin Polski z Morzem odbyła się w godzinach wieczornych w sali „Sokoła" Akademia międzyszkolna, której jednak program został ograniczony z powodu śmierci Ojca Św. do części poważnej. Po krótkim przemówieniu nastąpiły deklamacje, odpadły natomiast tańce i orkiestra. Warto zaznaczyć, że na Akademii wystąpił chór uczniów naszego zakładu, który pięknie odśpiewał kilka pieśni m. in. „Hymn Bałtyku".

Również z powodu zgonu Ojca Św. został odwołany „Kiermasz", który był przygotowany i — jak zapowiadano — miał być bardzo wesoły.

Dnia 14 lutego br. odbyło się zebranie Kółka Filologicznego, na którym jeden z kolegów (kl. II. lic.) wygłosił ciekawy referat, po którym wywiązała się szeroka dyskusja. Obecnie w świetlicy gimnazjalnej odbywa się międzyklasowy turniej szachowy o mistrzostwo gimnazjum. Prowadzona jest również akcja założenia międzyszkolnego „Klubu Sportowego". Zebranie „Gminy Szkolnej", na którym omawiano bieżące sprawy odbyło się dnia 16 lutego b.r.

Adam Taterwak.

KOBRYŃ

(Gimnazjum im. R. Rodziewiczówny).

Drugie półrocze zaczęliśmy pod znakiem wizytacji — bowiem w kilka dni po rozpoczęciu zajęć zawitał do nas p. Kurator Okręgu Brzeskiego. P. Kurator w krótkim czasie zbadał, nie tylko poziom naukowy naszego Gimnazjum i Liceum, ale i zainteresował się żywo działalnością poszczególnych organizacji.

30 stycznia był dniem żałoby — pochowano kol. Andruchowicza ucznia kl. II. W pogrzebie wzięła udział cała druga klasa oraz reprezentacja gimn.

Dnia 31 stycznia II-ga klasa Lic. zorganizowała „studniówkę", która pozostawiła w pamięci uczestników niezatarte wrażenie.

Dzień Imienin Dostojnego Solenizanta — 1-szy luty obchodziliśmy uroczyście. Po nabożeństwie celebrowanym w kościele parafialnym odbyła się w auli naszego gimn. akademia, na którą złożyły się występy chóru, orkiestry i solistów.

W ostatnim tygodniu gimnazjalny team hokejowy szykował się do meczu z reprezentacją gim. im. Traugutta w Brześciu, który nie odbył się, gdyż Brześć cofnął udział. Natomiast przyjechała do nas reprezentacja gimn. im. M. J. Piłsudskiego z Pińska na rozgrywki hokejowe, które odbyły się w dniu 5.II.1939 r. Obie drużyny mimo złych warunków atmosferycznych zawzięcie walczyły o zwycięstwo. W wyniku „krwawych" zmagań nasza drużyna wygrała 1 : 4. Organizatorzy chcąc zmienić nastrój gości, urządzili zabawę, w której wzięli udział Pińszczanie i nasze sfery sportowe.

W miłym nastroju koledzy z Pińska opuścili Kobryń.

Wiktor Milewski

TORUŃ

(Państw. Koedukacyjne Liceum Handlowe).

Dwa lata temu powstało jedyne na terenie woj. poznańskiego i pomorskiego Państwowe Liceum Handlowe. Dwa lata — niedługi czas. — A jednak Liceum to może się poszczycić własnym radiem, fortepianem i innymi zdobyczami nowoczesnej techniki.

Dzięki inicjatywie i gorącej współpracy p. dyr. Lipczyńskiego, uczenice — uczniowie II klas przerobili całkowity kurs motoryzacji na własnym samochodzie, który został przyznany nam przez M. W. R. i O. P., jedynie dzięki staraniom p. dyrektora.

Życie w naszym liceum jest przyjemne. Każdy rwie się wprost do pracy. Na terenie naszej uczelni istnieje Samopomoc uczniowska, której działalność jest b. dodatnia oraz Sodalicja Moriańska żeńska, która opiekuje się kilkoma biednemi rodzinami. Prefektem tejże sodalicji jest ks. prefekt Glock. Z ważniejszych imprez urządzanych przez dyrekcję szkoły należy wyliczyć wycieczki do W-wy i Łodzi. W Łodzi widzieliśmy Widzewską Manufakturę i Państwową Szkołę Włókienniczą.

Należy również wpomnieć o powstaniu na terenie szkoły 3-ej drużyny skautów wodnych. Drużynowym tejże drużyny jest Dh. Gierlicki Tadeusz, a opiekunem p. dyr. Lipczyński Władysław.

Widzimy więc, ile zawdzięczamy inicjatywie i gorącej współpracy grona profesorskiego z p. dyr. Lipczyńskim na czele. Liceum nasze w ciągu tak krótkiego czasu ma się czym pochwalić, tak na polu materialnym jak i duchowym.

Jerzy Wojciechowski

WOLSZTYN

(Gimn. Lic. im. Marsz. J. Piłsudskiego).

Podczas uroczystości ku czci Pana Prezydenta Rzeczypospolitej profesora dra. Ignacego Mościckiego rzucono myśl uczczenia Dostojnego Solenizanta czynem społecznym, bo jak głosił referat „pamięć o zasłużonych w narodzie ma być pobudką do działania, ma być przykładem, jak należy pracować, wypełniać swoje obowiązki, wreszcie jak rozumieć bezinteresowność w służbie dla Ojczyzny i społeczeństwa". Czynem, którym mamy zadokumentować naszą wolę i chęć w pracy dla Ojczyzny jest, już zaczęta zbiórka książek dla szlachty zagrodowej, zamieszkałej na terenie Małopolski Wschodniej, a ustawicznie narażonej na wrogą propagandę. Młodzież naszego gimnazjum z zapałem i zrozumieniem podjęła tę akcję i w przeciągu kilku ostatnich dni zebrała około dwustu wartościowych książek. Wieść o zbiórce wyszła poza mury gimnazjalne, zdobywając poważnych obywateli powiatu z ks. prałatem Majkowskim na czele.

Zbiórkę zorganizowało Kółko Społeczne przy gimnazjalnym Kole T. T. Z.

J. K. Lipiński

BRZEŚĆ n/B.

(Gimn. i Lic. im. R. Traugutta).

Ostatnio życie w naszej szkole upływa pod znakiem nauki i... karnawału. Mamy bowiem w Brześciu kilka szkół, a każda urządza po kilka zabaw. Organizacje nie przejawiają, niestety, w nowym roku żadnej działalności. (Prawdopodobnie spoczęły na zeszłorocznych laurach). Jedynie Koło Krajoznawcze od czasu do czasu urządza wieczory odczytowe. Obecnie projektuje cykl odczytów o morzu.

7 grudnia ub. r. Dryżyna Harcerska zorganizowała tradycyjnego „Mikołaja". Z „pijackiego" programu (5 numerów z „zawianymi" gośćmi) można myśleć, że harcerze się upili.

Spółdzielnia wykazuje powolny, ale stały rozwój, obejmując coraz to większe rzesze kolegów.

W. Borsuk
Kl. I. Liceum

KIELCE

(Pryw. Koed. Gimnazjum Kupieckie).

W końcu stycznia JEm. Ksiądz Biskup Ordynariusz dr. Czesław Kaczmarek zaproszony przez Dyrekcję, przybył do Gimnazjum Kupieckiego.

Wspaniała uroczystość odbywała się w pięknie udekorowanej godłami papieskimi sali gimnastycznej.

Po zwiedzeniu sal szkolnych i pracowni kupieckich Ks. Biskup odjechał do pałacu, pozostawiając niezatarte wrażenia w sercach uczennic i uczniów.

Zbigniew Strzębalski

RZESZÓW

(II. Gimn. Im. S. Sobińskiego).

Życie społeczne w naszym zakładzie jest nadzwyczaj aktywne, co zapewne jest wynikiem skupienia go w ramach organizacyj i kółek, rozwijających działalność fachową.

Najbardziej niewątpliwie zaawansowaną organizacją jest Samorząd Uczniowski, w skład którego wchodzą członkowie zarządu każdej klasy. Organizacja ta rozwija żywą działalność, której wyrazem jest zorganizowanie licznych konkursów, jak n.p. m. i. Konkurs Zespołów Dobrego Czytania.

Do Konkursu stanęły grupy uczniów z klas I, II i III gimn. Wyniki prac podawano do oceny komisji, złożonej pp. profesorów. Autorzy wyróżnionych prac otrzymali nagrody w postaci książek. Poza tym Samorząd wydaje miesięcznik „Nasze Widnokręgi", w którym są umieszczane artykuły, poruszające aktualne zagadnienia wewnętrzno - szkolne. Gazetka jest postawiona na odpowiednim poziomie, co należy zawdzięczać kierownikowi literackiemu P. Prof. Szewerze.

Niedawno, bo dopiero w drugim półroczu ub. roku powstało w naszym gimnazjum „Kółko fotograficzne", którym kieruje P. Prof. Smola. Staraniem tegoż „Kółka" zorganizowano Wielki Konkurs Fotograficzny dla młodzieży, na zakończenie którego urządzono Wystawę Fotograficzną w salach T. S. L.

Na terenie gimnazjum rozwija działalność Teatrzyk Szkolny pod kierownictwem P. Prof. Ruczki — reżysera miejscowego teatru „Reduta" Sama osoba kierownika daje rękojmię owocnej i wydajnej pracy. W maju ubiegłego roku Teatrzyk wystawił baśń fantastyczną Ewy Szelburg - Zarembiny „Za siedmioma górami", która cieszyła się powodzeniem. W tym roku projektuje Teatrzyk urządzenie Teatru Marionetek.

Poza tym istnieje Szkolna Kasa Oszczędności, współdziałająca z P. K. O. i rozwijająca oszczędność uczniów. S. K. O. urządza rokrocznie obchody w Dniu Oszczędności. S. K. O. liczyła w ubiegłym roku 157 członków, zaś wkłady uczniów wynosiły 258,25 zł.

Prócz tego na terenie gimnazjum działają b. wydatnie takie kółka i organizacje, jak koła przyrodnicze, literackie, L. O. P. Straż Przednia i Drużyna Harcerska.

Eu - Eu.

CHOINKA PEWIACKA WE LWOWIE

W gimnazjum już od rana panuje ruch. Przez korytarze, przebiegają, coraz to inne dziewczęta w szarych, skromnych mundurach. Muszą się spieszyć, — mają jeszcze tyle pracy: trzeba zrobić jeszcze jedną, uroczystą, generalną próbę, poustawiać dekoracje no i przybrać choinkę, bo jakże „Choinka pewiacka" bez pięknej, strojnej „choinki"! Dziś popołudniu wielka uroczystość „choinka". Takie krótkie słowo, lecz ile treści zawiera i jak ładnie brzmi. Przypomina nam ono wiele szczęśliwych chwil, widzimy bliskie i drogie osoby, dzielące się z nami opłatkiem, słyszymy śpiewne kolędy i jest nam tak dobrze, tak miło.

Do jasno oświetlonej sali napływa coraz więcej widzów; — są to władze pewiackie, zwykłe słuchaczki, no i zaproszeni „cywile". Wreszcie dzwonek; na widowni ściemnia się, a oczy wszystkich, skierowują się na scenę. A tam dzieją się dziwy... Orszak strojnych kwiatów kroczy za swą królową — różą, a za nim śpieszą wszystkie stworzenia, nawet Muchomór i Krasnolud opuścili swe leśne kryjówki, by cześć oddać Stwórcy i Panu. Nie zważają na to, że zimny wiatr szarpie ich delikatne sukienki — łączą się z ludźmi, dążąc wytrwale do stajenki, gdzie nad śpiącą Dzieciną czuwa Matka Boża i stary Józef.

Każdy hufiec i oddział obmyślił i opracował na dziś jakiś program. Wszystkie uzdolnieia wykorzystane; zgrabne osoby — tańczą: walca, starego menueta, dziarskiego mazura lub ochoczego krakowiaka.

A potem... Z widowni usunięto wszystkie krzesła, przy fortepianie zasiadła utalentowana osoba i przygrywa do tańca rozbawionym dziewczętom. Tańczą wszyscy — zwykła ochotniczka zaprasza nieśmiało do walca swą wielką, srogą szarżę, a komendantki hufców, oblężone przez swe słuchaczki, idą coraz to z inną w tan. Nastrój jest tak, miły, jest tak radośnie w tym gronie wesołych, roześmianych, roztańczonych dziewcząt w pewiackich mundurach.

W kącie sali płonie choinka, przy której stanęła grupka dziewcząt. Patrzą, ...nie wszystkie znają się, lecz czują się, jak bliskie sobie i drogie istoty.

Cóż, że nie wszystkie znamy swe imiona i nazwiska, — cóż, że jesteśmy uczennicami różnych szkół i że różnimy się czasem wiekiem, gdy:

„Jedno w nas czucie, jeden dech,
Choć my z pod różnych wyszły strzech
I jedną wiarę każda ma,
Oj, nie masz to, jak P. W. K.!"

Zofia Winiarska

KOLEŻANKI I KOLEDZY!

Już 6 miesięcy redagujemy „Młody Nurt" według swej najlepszej woli. W ciągu tego czasu różnie bywało: jedne numery więcej, inne mniej trafiały bezpośrednio do Was, do Waszych serc i Waszego intelektu. Ogólnie jednak wszyscy bez wyjątku uznaliście nasze wysiłki i dobrą wolę, oceniliście pismo i jego rolę tak, jak wymagała tego ocena rzeczywistości. Mimo licznych pokus i rad niektórych Koleżanek i Kolegów nie poszliśmy na spłycenie pisma, lub na uwzględnienie tylko problemów literackich. Rzeczywistość polska wymaga od młodzieży czegoś więcej — wymaga pracy i przemyślenia całego szeregu zagadnień, związanych z bytem jednostki i państwa.

Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że na skutek obniżenia poziomu pisma zyskamy więcej współpracowników i czytelników. Zaniechaliśmy jednak tej drogi, całą siłą woli zdążając do tego, by pismo nie tylko bawiło, ale kształciło umysł i serce!

I w ten sposób trafiliśmy do Was, garstki rozrzuconej po całej Polsce. Dumni jesteśmy z Was, którzy życiu patrzycie śmiało w oczy i nie boicie się podejmować trudów, które na nasze barki składa społeczeństwo i państwo. Z tej szczupłej kadry, która pierwsza stanęła w szeregach, muszą wyróść kolumny świadomych spółtwórców nowej rzeczywistości wśród młodzieży polskiej.

I to wasza rola na dzisiaj i na wówczas nawet, kiedy opuścicie mury szkolne.

Dlatego zwracamy się do Was Koleżanki i Koledzy, byście zechcieli redakcji poddawać problemy Was interesujące, byście jak najściślejszy utrzymując z nami kontakt, poddawali myśli, mówili nam o tym, coby jeszcze należało w piśmie uwzględnić, co zmienić i udoskonalić. Krótko: prosimy Was o żywą wymianę myśli, o zacieśnienie węzłów przyjaźni.

Na koniec słów kilka jeszcze o tych, którzy zrażają się pierwszymi trudnościami i którym ambicja nie pozwala na stałe utrzymywanie kontaktu z pismem. Otóż zrozumcie, że istniejemy tylko jako dwutygodnik. Często nawet dobre rzeczy nie mogą być zamieszczone z powodu braku miejsca. Materiał trzeba często oceniać z tej strony, czy wnosi jakieś nowe myśli, czy rozwija problemy. — Mimo dobrego często stylu, trzeba artykuły odrzucić, bo przelewają z próżnego w puste. Nikt się nie urodził od razu geniuszem, sił swych zawsze winniśmy próbować, jeśli tylko serce woła o uwzględnienie tych rzeczy, które jeszcze nie widziały światła dziennego.

Ufni w Wasze dobre chęci wierzymy, że wspólnie sięgniemy po cel, który nam przyświecał od chwili założenia pisma. Wiarą i wspólnym wysiłkiem zrzeszymy wokół pisma całą młodzież polską, której sprawa przyszłości Narodu i Państwa nie jest obojętną. Takiemu zadaniu podołać musimy na przekór wszystkim, którzy nie wierzą w naszą siłę i moc, w nasz zapał i chęć do pracy.

Zakończę wspólnym naszym hasłem: rozszerzajcie „Młody Nurt", zdobywajcie mu nowych prenumeratorów i czytelników — od tego bowiem zależy taki czy inny jego byt.

Red.

Czytajcie!

Książki o treści społecznej.

Mysłakowski T. „Totalizm czy kultura". Kraków 1938 Spółdz. Wyd. - Czytelnik.

Mieczysław Pesta „Piaski". Warszawa 1939. Wyd. „Rój".

Książki o treści popularno - naukowej.

Estreicher T. i Tomanek Z. „Chemia zdobyła świat". Kraków 1938. Księgarnia Powszechna. Stron 277.

Steinhaus H. „Kalejdoskop matematyczny". Lwów—Warszawa 1938. Książnica - Atlas. Str. 135.

Beletrystyka.

Conrad J. „U kresu sił" (ang) Tł. A. Zagórska. W-wa 1939 Inst. Wyd. Biblioteka Polska. Str. 186.

Rusinek M. „Ziemia miodem płynąca" Lwów—W-wa 1938 Książnica - Atlas. Str. 311.



Kol. Kol. AW i VD. Warszawa. Prosimy o podanie dla celów ewidencyjnych pełnego imienia, nazwiska, adresu, gimnazjum i klasy do której Kol. Kol. uczęszczają.

Kol. A. T. Tarnopol. List wysłaliśmy: część nadesłanego materiału idzie w tym numerze. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. L. Ch. — Kraków. Sprawy kolportażu przekazaliśmy administracji. Co do nadsyłania recenzji z filmu, teatru itp. Chętnie będziemy je zamieszczać, o ile traktować będą rzecz ogólnie, bez zbytniego wdawania się w szczegóły, charakterystyczne tylko dla danego miasta (np. obsada ról). Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. T. B. Łowicz. Za pomyłkę zecerską w artykule przepraszamy. Prosimy nadesłanie fotografii. W artykule „O poezji cierpiętniczej" wnioski nie wszystkie są słuszne, styl za bardzo rwany. Drukować chyba nie będziemy. Nie chcemy wdawać się w ocenę wierszy. Piszcie kolego prozą na tematy związane z życiem. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. J. K. Pruszków. Z nadesłanej powieści nie skorzystamy, gdyż nie ukończylibyśmy jej druku w b. roku szkolnym, ze względu na zobowiązanie zaciągnięte poprzednio. Natomiast prosimy o nadsyłanie artykułów, np. dyskusyjnych i korespondencji z terenu gimnazjum. Przesyłamy pozdrowienie.

Kol. A. K. Warszawa. Podjęcie próby pisania prozą artystyczną udane. Sam temat jednak dla nas mało efektowny. Zatrzymujemy, mimo, że w obecnym okresie drukować nie będziemy. Przesyłamy pozdrowienia.



SPORT

Nie tylko świat sportowy, lecz cała Polska stała ostatnio pod znakiem Fis, czyli narciarskich mistrzostw świata, których organizację w roku 1939 międzynarodowa federacja (Federation Internationale de Ski, w skrócie FIS) zleciła Polskiemu Związkowi Narciarskiemu.

Odbyły się one w Zakopanem w czasie od 12—19 lutego.

Wyjątkowe znaczenie zawodów polegało na tym, że chciano wykorzystać okazję dla szerokiej międzynarodowej propagandy Zakopanego i w ogóle Tatr, jako terenu turystycznego. Poczyniono więc inwestycje, idące w miliony złotych. Wybudowano m. i. obok już istniejącego wyciągu linowego na Kasprowy, kolejkę górską na Gubałówkę, gdzie powstała elegancka, stylowa restauracja, dalej wspaniały hotel turystyczny na Kalatówkach, wielki garaż samochodowy o najnowocześniejszych urządzeniach; obok tego — położono szereg nowych dróg, otwarto kilka nowych alej, i ulic, w pensjonatach i hotelach przeprowadzono ulepszenia i upiększenia; wreszcie zbudowano dworzec kolejowy.

Niezależnie od tych przygotowań ogólnych, mających na celu zachęcić zagranicznych turystów do odwiedzania Tatr, szły przygotowania sportowe. Imprezę przygotowano pierwszorzędnie. Przewidziano wszystko, przygotowano wszystko, tak że mimo wprost katastrofalnych warunków atmosferycznych cały program zawodów mógł być przeprowadzony. Wysiłki organizatorów dla zapewnienia normalnego ich przebiegu zasługują na najwyższe pochwały. Jak wielkie one były, wskazuje chociażby fakt, że w noc przed biegiem patroli wojskowych, musiano pokryć zwiezionym specjalnie śniegiem 17 km trasy.

W rezultacie, przedstawiciele całego świata narciarskiego i zagranicznej prasy, a w pierwszym rzędzie prezes FIS p. Oestgaard wyrazili swój podziw i swoje uznanie.

Niestety, wyniki, osiągnięte podczas zawodów przez naszych narciarzy, były o wiele mniej zadawalające. Nie spodziewaliśmy się wprawdzie żadnych sensacyjnych zwycięstw, jednak wolno było oczekiwać od naszych reprezentantów zajęcia lepszych miejsc.

Ogromny sukces święciły Niemcy, które prawie we wszystkich konkurencjach zajęły pierwsze miejsca. Zawdzięczały to w większości wypadków Tyrolczykom, którzy do niedawna startowali w barwach Austrii, niemniej musieli zaimponować wszystkim, triumfując nawet w takich konkurencjach, które dotychczas uważane były za dziedzinę niepodzielnej supremacji Skandynawców.

Wielką moralną klęskę ponieśli dotychczasowi „królowie" narciarstwa — Norwegowie, którzy zadowolić się musieli jednym pierwszym miejscem.

Rezultaty mistrzostw były następujące:

Bieg zjazdowy panów wygrał Niemiec Lantschner. W slalomie triumfował Szwajcar Rominger. W kombinacji alpejskiej (bieg zjazdowy i slalom) pierwszym okazał się Niemiec Jenewein, przed swym rodakiem Walchem i Romingerem.

Polacy zajęli następujące miejsca: w biegu zjazdowym Bronisław Czech 20-te, Schindler 22-gie, Karol Zając 26-te, Marian



Następca St. Marusarza: młody zawodnik Kula czeka na znak do startu

Zając 32-gie, na 35 startujących. W slalom Schindler był 15-ty, Marian Zając 16-ty, Br. Czech 17-ty. W kombinacji Schindler okazał się na 15-tym, Czech 16-tym, K. Zając na 22-im miejscu.

Bieg zjazdowy pań wygrała bezkonkurencyjna Christl Cranz (Niemcy), przed swymi rodaczkami Reschi i Goedl. W slalonie triumfowała również Cranz, która tym samym uzyskała pierwsze miejsce w kombinacji. Nasze zawodniczki wylądowały wszystkie na dalszych miejscach. Bieg 18 km do kombinacji norweskiej (bieg i skoki) wygrał Fin Maekinen; Andrzej Marusarz zajął 12-te, Wnuk 15-te, Orlewicz 16-te miejsce. Stanisław Marusarz zajął dopiero 27-me miejsce.

W skokach do kombinacji bezkonkurencyjnym okazał się Stanisław Marusarz, górujący nad wszystkimi przeciwnikami tak uzyskanymi odległościami, jak również i stylem. W kombinacji jednak, dzięki słabemu wynikowi w biegu, zajął zaledwie 7-me miejsce. Pierwsze przypadło w udziale Niemcowi Berauerowi. Andrzej Marusarz zajął miejsce 4-te.

Bieg 18 km otwarty wygrał Fin Kurikkala przed swym ziomkiem Karppinenem i Szwedem Pahlinem. Pierwszy z Polaków Matuszny wylądował na 36-tym Nowacki na 38-ym miejscu.

Bieg 50 km wygrał norweg Bergendahl, pierwszy z Polaków Zubek na 11-ym miejscu.

Bieg sztafetowy 4x10 km wygrała drużyna fińska w składzie Pitkanen, Alakulppi, Olkinuo, Karppinen, przed zespołami Szwecji i Italii. Polacy w składzie Karpiel, Orlewicz, Matuszny i Nowacki na 8-mym miejscu.

Otwarty konkurs skoków wygrał dość niespodziewanie Niemiec Bradl, przed wielokrotnym mistrzem Birgerem Ruudem (Norwegia). Stanisław Marusarz zadowolić się musiał 5-tym miejscem, Kula — 11-tym.

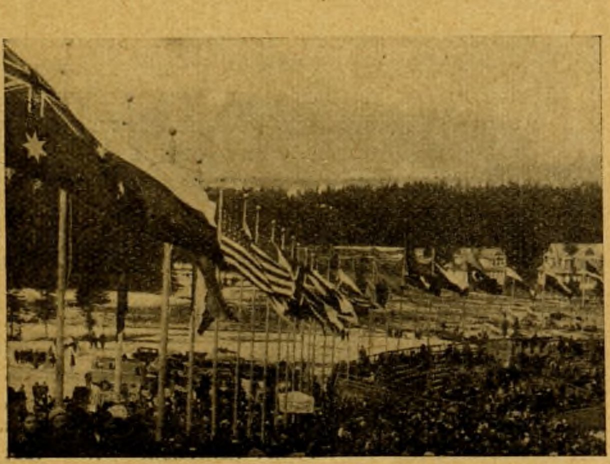
Poza oficjalnym programem zawodów FIS odbył się bieg patroli wojskowych, wygrany zupełnie nieoczekiwanie przez Niemców. Na drugim miejscu Szedzi, na trzecim — Polacy, co uznać należy za duży sukces, gdyż za nimi znaleźli się Włosi, Finowie, Rumuni i Węgrzy.

*

W dniu 20 bm. rozegrany został w Katowicach mecz hokejowy Polska - Ameryka, wygrany przez USA w stosunku 1 : 0.

*

Hokejowe mistrzostwo świata zdobyła, zgodnie z oczekiwaniami, Kanada przed USA.



Widok ogólny stadionu FIS.

POFISOWE ECHA



Zwycięzca skoków otwartych Niemiec Bradl

Drugie przeprowadzone przez nas narciarskie mistrzostwa świata mamy już poza sobą. Jak przed dziesięciu laty, tak i tym razem nie przyniosły nam one oczekiwanych korzyści w postaci dobrych wyników sportowych. W roku 1929 najlepiej spisaliśmy się w biegu złożonym na 18 km., zdobywając przez Bronisława Czecha czwarte miejsce. Poza tym musieliśmy się zadowolić zajęciem miejsc w drugiej lub nawet trzeciej dziesiątce zawodników.

Niewiele lepiej wypadł i tegoroczny bilans zawodów FIS. W pierwszej dziesiątce sklasyfikowanych zawodników znaleźli się jedynie: w kombinacji norweskiej — Andrzej Marusarz na 4 miejscu, brat jego Stanisław na siódmym, a Wnuk na ósmym. W skokach do kombinacji pierwszym był St. Marusarz, 3) Andrzej Marusarz, 8) Wnuk, 10) Roj. Oprócz nich wymienić jeszcze musimy piąte miejsce St. Marusarza w skokach otwartych i 11) 17-letniego Jana Kuli. W slalomie pań Stopkówna znalazła się na ósmej pozycji, a Marusarzówna na dziewiątej. Ale w pozostałych konkurencjach nie mieliśmy nic do powiedzenia.

W kombinacji alpejskiej nieprędko jeszcze zdobędziemy się na lepsze czasy, również daleko nam do klasy, jaką reprezentują np. Finowie lub Norwegowie w biegach płaskich. Jedynie wyniki osiągane w skokach stawiają nas wśród elity światowej.

Jeśli zestawilibyśmy listę państw startujących w Zakopanem według zdobytych miejsc w poszczególnych konkurencjach, to na czele z olbrzymią przewagą punktową znalazłyby się Niemcy, 2) Norwegia, 3) Finlandia, 4) Szwajcaria, 5) Szwecja, 6) Francja, a dopiero na miejscu siódmym z mikroskopijną ilością punktów za skok St. Marusarza i kombinację (klas.) A. Marusarza, znalazłaby się Polska, a za nią Włochy, Jugosławia i Węgry.

Doskonale zorganizowany aparat informacyjno-prasowy, oraz kwaterunkowy spotkał się ze szczerym uznaniem całej zagranicy. Reasumując, w samych zawodach sukcesu nie odnieśliśmy, za to możemy być zadowoleni z dobrze przygotowanej imprezy sportowej o charakterze światowym jakim był właśnie FIS.

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: Koncern Prasowy M.S.Wojsk P.U.W.F. i P.W. Kultura Fizyczna
Strona graficzna: Leonard Rutkowski.

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Łazienkowska 3. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30.
Tel. Redakcji 8-50-08. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.